

1 D 71810

indeks 348856 Elbl.

Piątek, 27 grudnia 1996 r.

Nr 301 (15853) Rok LII ISSN 0137/9062

Nakład 163 tys. egz

magazyn

Rejsy

Arcybiskup Moskwy

Tadeusz Kondrusiewicz - o katolicyzmie w Rosji

str. 4

Dar w nogach

Marek Citko z bliska

str. 6, 7

Korona Ziemi

pod stopami.

Jak zdobyć szczyty kontynentów

str. 8, 9

Przepowiednie

horoskopy na cały rok

str. 10, 14, 15



Fot. Maciej Kosycarz

Grzegorz Szychliński:
najstarsze zegary gdańskie
powinny posiadać, tak jak
przed wiekami, tzw. „boże
ręce”

str. 11

AIKIDO

Fot. Jacek Balk

Listy

Nie, to nie - bez łaski!

Szanowna Redakcjo! Jestem tegoroczną absolwentką Politechniki Gdańskiej. Sprawa, którą chciałam opisać dotyczy sposobu podejścia do klienta banku PKO BP. Pragnę, aby została naświetlona na łamach „Dziennika Bałtyckiego”, ponieważ opisany niżej przypadek nie jest wyjątkiem jeżeli chodzi o traktowanie klientów przez PKO BP i myślę, że taki bank jak PKO BP nie powinien sobie na to pozwalać.

Szczęśliwie udało mi się zdobyć pracę, którą rozpoczynam 1 grudnia i w związku z tym, że firma dopiero wchodzi na rynek polski przed obje-

ciem samodzielnego stanowiska odbędę półroczne szkolenie w Warszawie. Standardem już się stało przekazywanie dochodów na konta bankowe. Chcąc mieć wszystkie formalności bankowe załatwione przed wyjazdem 18 listopada udałam się z odpowiednim zaświadczeniem z zakładu pracy potwierdzającym zatrudnienie oraz zarobki do III Oddziału PKO BP celem otwarcia konta osobistego. Pomijając fakt, że zaświadczenie okazało się niewystarczające i musiałam ponownie udać się do zatrudniającej mnie firmy po jego uzupełnienie czekałam w III Oddziale PKO BP

ok. 2 godzin na załatwienie mojej sprawy. Ponad godzinę trwało samo rozstrzygnięcie, czy można przyjąć moje podanie o otwarcie rachunku ROR, ponieważ pracę rozpoczynam dopiero „w przyszłości” i jak mnie poinformowano jeszcze mogę z niej zrezygnować. Ostatecznie po konsultacjach pań z działu kont osobistych z panią naczelnik uznano, że moje podanie można przyjąć i konto zostanie w ciągu 2 godzin otwarte. Do Warszawy wyjechałam 1 grudnia, a dnia 29 listopada, w piątek otrzymałam przesłane listem zwykłym zawiadomienie o odmowie otwarcia konta osobistego, bez podania przyczyny. Bardzo zdziwiona ok. godz. 16 złożyłam wizytę naczelnik oddziału pani Danucie Szwaro prosząc o wyjaśnienie. Pani Szwaro oświadczyła, że PKO BP nie ma obowiązku tłumaczyć się dlaczego odmawia otwarcia konta, co oczywiście rozumiem, ale w uzasadnionych przypadkach. Argumenty pani Szwaro, przekonujące mnie na przykład, że przecież i tak do Gdańska będę przyjeżdżać uważam za raczej żenujące. Chcę dodać, że nie zależało mi na szybkim otrzymaniu czeków bądź karty do bankomatu, zależało mi wyłącznie na otwarciu konta (możliwie z zastrzeżeniem uruchomienia z dniem 1.12.96, jeżeli te kilka dni sprawiło PKO BP różnicę), tak, aby móc przekazać zakładowi pracy jego numer, a z powodu wyjazdu przypuszczalnie nie udało by mi się załatwić tego w przeciagu naj-

bliższego miesiąca, co zatrudniająca mnie firma wymagała.

Przecież jestem klientem, a raczej potencjalnym klientem banku i chciałam swoje pieniądze powierzyć tak, jak mi się wydawało, szanującej się firmie. Niestety, PKO BP ma ustaloną, jeszcze dominującą pozycję na rynku i chyba nie wie, że o klienta należy dbać. Opisana sytuacja nie jest wyjątkiem i żałuję tylko, że nie posłuchałam osób, które miały już podobne doświadczenia z PKO BP i od razu nie zwróciłam się do innego banku.

Na szczęście po rozmowie z panią Szwaro zdecydowałam się udać do pobliskiego Banku Gdańskiego, gdzie w ciągu 5 minut z uśmiechem na ustach otwarto mi konto osobiste, po przedłożeniu zwróconego mi z PKO BP zaświadczenia z zakładu pracy. Bez czekania, stresu i bez łaski.

Życzę cierpliwości klientom i potencjalnym klientom PKO BP i dziękuję BG za szybkie i życzliwe rozwiązanie mojego problemu. Pragnę też nadmienić, że wszystkie opisane okoliczności dotyczą III Oddziału PKO BP przy ulicy Okopowej w Gdańsku i chcę mieć nadzieję, że takie traktowanie klienta nie jest spotykane w innych oddziałach PKO BP.

Anna Grąiewicz

Uwierzyć w siebie

Mam 41 lat. Gdyby można było cofnąć czas, chciałbym mieć co najwyżej 20 lat i 3 miesiące. Dlaczego właśnie tyle? O tym trochę dalej.

W 1970 r. zacząłem ogólniak i działalność w SKS, życie grzeczne i ustabilizowane; rok 1974 to początek niezbyt chcianych studiów na ekonomii gdańskiego uniwersytetu. Pierwsze 3 semestry minęły bez problemów, udzielałem się w Klubie Uczelnianym AZS. Minęło właśnie 20 lat i 3 miesiące od mego poczęcia. W październiku, jako młody działacz studenckiego sportu wziąłem udział w obozie szkoleniowym w Sobieszewie. Do tego jesiennej wieczoru, alkohol był dla mnie pojęciem zupełnie abstrakcyjnym. Dalej były obozy: letnie i zimowe piłkarskie. Na studia było bardzo mało czasu, tylko tyle, aby nie dostać kopa, za to kilka godzin spędzałem codziennie w klubie z coraz to nowymi znajomymi. Różnymi sposobami udało mi się lawirować na uczelni przez 8 lat i zaliczyć „aż” 3 semestry. Poznawało się mnóstwo nowych ludzi - nie spotkałem wśród nich ani jednego abstynenta, za to wielu moczomordów. Alkohol lał się strumieniami, zawsze ktoś z ekipy dysponował groszem. „Paliwo” było główną przyczyną tego, że nie jestem dzisiaj obywatel, mającym przed nazwiskiem trzy znamienne literki „mgr”. Pracowało się tu, to tam, raz dłużej, raz krócej, a gorzała i inne trunki z pewnością nie pomagały w życiowej stabilizacji. Latem 86 jeden z moich „przyjaciół” niemalże nakazał mi abym zdawał na zaoczną rekreację, na gdańskim AWF. I patrzcie państwo - 11 lat niehigienicznego trybu życia, parę chwil nauki i zostałem studentem! Również i tu, wśród sportowej przecież braci, nawet ze świecą nie znalazłoby się abstynenta. Gdzie nie spojrzeć wszędzie leje się wszechwładna gorzała. Następnę 10 lat to

kompletny marazm, chocholi taniec, bezsensowna egzystencja. Częste alkoholizowanie się, poranne kace i wszystkie związane z tym „przyjemności”. Kolejne mocne postanowienia (po opilstwie) zmiany stylu życia. I co, i nie! Dalej to samo. Minęło 21 lat i 19 października doszedłem do wniosku, że swoje hektolitry już wyłopałem i basta! Licznik bije na moją korzyść, lada chwila przekroczy 30 spokojnych dni. Nie zna tego pięknego uczucia normalności ten, który nie wprowadzał się w alkoholowy amok. Już nie suszy, nie mam kaca, brak kacowych lęków, w domu niemalże idylla, tylko „kolesie w kufelku” dziwią się, że Wicio popija i owszem piwko, ale karmelowe. Życie może być cudowne i to bez 10 kufla piwa! Po długim okresie bylejakości z całą stanowczością stwierdzam warto żyć!

Wiktor Cichosz z Gdańska

P.S. Znając dobrze życie z tamtej strony kieli,cha, nie jestem zwolennikiem wydawania ogromnych pieniędzy na leczenie alkoholików. Nie oszukujmy się: w szpitalach odwykowych procent dożywności wyleczonych stanowi małeńki margines tych, którzy oddają się w ręce lekarzy, aby złapać oddech, odżywić się na koszt społeczeństwa i wymienić doświadczenia z „kolegami”. Sądzę, że wszelkiego rodzaju nałogi leżą w sferze psychicznej, powoduje je nasza próżność i kwestia przyzwyczajenia. Jestem gorącym zwolennikiem psychoterapii, chociaż nigdy z niej nie korzystałem, silna wola, dobre chęci, zdrowa psychika to elementy umożliwiające wyjście z dolki, a grube miliony przekażmy na inne sfery bardzo kulawej służby zdrowia.

R-7597

Śląska Wytwórnia Wódek Gatunkowych informuje, że z dniem 1 grudnia 1996r. Ogłasza:

WIELKIE POLOWANIE NA orla

do Wygrania:

- wycieczka do Paryża dla 2 osób
- 2 telewizory PHILIPS - 21 cali
- 3 magnetowidy PHILIPS
- 300 nagród pocieszenia

Szczegóły konkursu znajdziesz w sklepach.

samochód POLONEZ CARO



OF POLAND

o tym
się mówi

Sylwestrowy wieczór: na miarę marzeń, czy możliwości?



Kazimierz Ciotowicz, kierowca tramwaju z Elbląga.

Fot. Piotr Kajmer

- Sylwestra spędzę w domu lub w gronie najbliższych przyjaciół. Marzenia są duże, możliwości mniejsze, dlatego tegoroczny stary rok pożegniam w Polsce. W przyszłym roku, lub za dwa lata moje marzenie spełni się i sylwestra spędzę za granicą. Pojadę tam razem z żoną i dwojgiem dzieci. Miejsce, na wieczór sylwestrowy wybiorę razem z rodziną.



Henryk Gręda, bezrobotny z Elbląga.

Fot. Piotr Kajmer

- Sylwestra spędzę ze swoją 78-letnią mamą. A może będę miał jakieś inne zajęcie? Jeszcze do końca nie zdecydowałem. Rozszedłem się z żoną, więc nie mam rodziny. Kupię sobie jakąś ciwkę i przeżyję tę noc. W przyszłości bardzo chciałbym pojechać do mojej córki, która mieszka w Ameryce. Pragnę razem z nią spędzić sylwestra, może na jakimś balu?



Barbara Kuchowicz - Nowoszeńska, pracownik ZBK w Elblągu.

Fot. Piotr Kajmer

- Niestety, sylwestra spędzę w pracy. Jestem dozorniczką i w ten wieczór będę stróżować. Mój małżonek przyjdzie do mnie do pracy i dzięki temu będziemy mogli spędzić sylwestra razem. Moim wielkim marzeniem jest spędzenie wieczoru sylwestrowego nad Bałtonem. Bardzo chciałabym zobaczyć to jezioro, niezależnie od pory roku i okoliczności. Mam nadzieję, że moje marzenie wkrótce się spełni.



Jolanta Wiśniewska, uczennica I Liceum Ogólnokształcącego w Elblągu.

Fot. Piotr Kajmer

- W sylwestra idę do mojego chłopaka i spędzę noc razem z nim i jego rodzicami. Mam nadzieję, że w przyszłości będą oni również moimi rodzicami. Moim wielkim marzeniem jest sylwester w Paryżu. Jest to miasto zakochanych, pełne uroku i tajemniczości. Z pewnością każda kobieta chciałaby spędzić ten jedyny wieczór u boku ukochanego, właśnie w tamtym miejscu.

(i.p.)

magazyn Rejsy

27 grudnia 1996



Fot. Jacek Balk

Aikido - czyli

wygrywać bez walki

- str. 12-14

Zapraszamy na łamy

Najbardziej lubię kalendarz ścienny z kartkami do codziennego wrywania. W Nowy Rok wiem go z celebrą na od zawsze tym samym miejscu i wygłaszam taki mniej więcej monolog: popatrzcie, jaki gruby. Nawet nie zauważymy, jak szybko oberwiemy go do deski i znów będziemy mocować następny. Domownicy podnoszą oczy do nieba - rytuałowi stało się zadość. Czas... nasz odwieczny towarzysz, wróg i przyjaciel. Człowiek wynalazł zegar i od tej pory czas odmierzamy w godzinach i minutach, ale ujarzmić się go nie da. Inne były kiedyś zegary, w inny sposób tykały naszym przodkom. Píše o tym Jacek Sieński.

Uptyw czasu to przeszłość. Przeszłość to wspomnienie i historia. 10 lat temu, w grudniu, rozegrała się w Rumunii krwawa rewolucja. Pamiętamy nasze Grudnie, o tym rumuńskim przypomina nam Doina Cornea, w artykule Denisa Choquet, francuskiego reportera.

Przyszłość - to czas, który jeszcze nie nadszedł. Schyłek wieku prowokuje katastroficzne wieszczby, straszy wizjami ponurego końca. Straszmy więc Apokalipsę. Ale człowiek zawsze ma nadzieję na lepsze jutro - stawiamy więc - oby szczęśliwe dla wszystkich - całoroczne horoskopy. Między przeszłością i przyszłością jest teraźniejszość, w której zapraszamy do lektury - oprócz stałych rubryk znajdziecie Państwo m.in. sylwetkę sportowca Marka Citki, wyczynowca Czesława Jakubczyka, oraz dokończenie artykułu „Tragiczne morze”.

Za dni parę - Nowy Rok! Życzę zdrowia i pieniędzy. Wtedy reszta przyjdzie bez trudu. Też powtarzam to co roku. I najbliżsi nie grymaszą.

Rita Krzyżaniak



Rys. Zdzisław Jujka

Rejsy

Redagują: Aleksandra Paprocka, Tadeusz Skutnik (kierownik).
Opracowanie graficzne: Krzysztof Ignatowicz, Studio BUM.
Stale współpracują: Piotr Dominiak, Grzegorz Kurkiewicz,
Jerzy Samp, Janina Wieczerska.
Tel. 31-79-26; 31-50-41 w. 350, 351

Nasze Rozmowy

*Katolicyzm w Rosji
przyciąga ludzi młodych.
Przeważa inteligencja. Nauka
społeczna Kościoła wzbudza
ogromne zainteresowanie.
Przychodzą do nas również
prawosławni i niewierzący.*

*Z Tadeuszem Kondrusiewiczem
arcybiskupem Moskwy
rozmawia Maria Giedź*

Tadeusz Kondrusiewicz urodził się 3 stycznia 1946 r. w Odelsku na Białorusi. Pochodzi z polskiej rodziny, ale nigdy nie uczył się rodzimego języka. Do dzisiaj ma trudności z pisaniem po polsku, chociaż tym językiem włada biegle. Notabene, zna również, oprócz rosyjskiego, litewski, białoruski, włoski, angielski i łacinę. Nie pozwolono mu zostać nauczycielem. Wielokrotnie starał się o przyjęcie do seminarium duchownego. Władze partyjne, które opiniowały i tych kandydatów nie wyrażały zgody. Ukończył więc studia na Politechnice Leningradzkiej i jest inżynierem. Dopiero w drugiej połowie lat siedemdziesiątych został przyjęty do seminarium duchownego w Kownie na Litwie. Święcenia kapłańskie otrzymał 31 maja 1981 r. Ośiem lat później został biskupem diecezji grodzieńskiej. 13 kwietnia 1991 r. mianowano go administratorem apostolskim europejskiej części Rosji z siedzibą w Moskwie.



Powrót do wiary

- W byłym ZSRR istniały tylko dwa katolickie seminaria duchowne: w Kownie i w Rydze. Czy księża tam kształceni prowadzili również duszpasterstwo w Republice Rosyjskiej i jak wyglądała tutaj sytuacja Kościoła katolickiego?

- Dostępne były tylko dwa kościoły katolickie: w Moskwie i w Petersburgu. Księża w Rosji nie było w ogóle. Absolwenci seminarium w Kownie pracowali na Litwie. Po ukończeniu seminarium w Rydze można było, poza Łotwą, pracować na Białorusi. Wzorcowy przykład socjalizmu stanowił okręg kaliningradzki. Zlikwidowano w nim wszystkie kościoły. Nie tylko katolicki, ale również prawosławny i ewangelicki. W budynkach sakralnych ulokowano różne instytucje. Rdzenną ludność wysiedlono, a tę sprowadzoną z głębi Rosji odizolowano od kontaktów z duchowieństwem.

- Jeżeli przez 70 lat Kościół nie istniał, to jak przetrwali wierni?

- Nie można mówić o siedemdziesięciu latach. W różnych rejonach Rosji różnie to wyglądało. Czekano aż umrze duchowny, a brak następcy był pretekstem do zamknięcia budynku. Opu-

sczeni wierni niekiedy jeździli do kościoła na Litwę, na Białoruś, do Polski. Zdarzało się, że przez 40 lat nie widzieli księdza. Modlili się w domach... Gdy w 1991 r. zostałem wysłany do Moskwy, otrzymałem 6 parafii na terenie 13 razy większym od Polski obejmującym 40 proc. obszaru Europy. Do pomocy miałem trzech księży.

- Pozostała jednak Cerkiew prawosławna, która jest bliższa tradycji Rosji niż Kościół katolicki.

- Pierwsze wzmianki o istnieniu Kościoła katolickiego w europejskiej części Rosji pochodzą z XII w. i dotyczą m.in. Smoleńska. A więc funkcjonowały dwa kościoły równolegle: prawosławny i katolicki. W 1782 r. ukształtowała się hierarchia katolicka. Mam na myśli tylko Rosję i to jej europejską część. Do rewolucji istniało 150 parafii katolickich. Były dwa seminaria duchowne, w St. Petersburgu i w Saratowie. Tam również znajdowały się siedziby biskupów. Działało 14 zgromadzeń żeńskich i 7 różnych zgromadzeń męskich. Wiernych szacowano na ok. 500 tys. osób. Aż 62 absolwentów Akademii Peters-

burskiej zostało biskupami i kardynałami.

- Minęło pięć lat pracy duszpasterskiej księdza arcybiskupa. Jaka jest dzisiaj Rosja? Czy można mówić o powrocie do wiary?

- Mamy 91 parafie i pracuje w nich 111 księży, którzy przybyli z 16 różnych krajów świata. Prawie połowa to Polacy. Z 17 państw przyjechały siostry zakonne. Jest ich 104. W 1991 założyliśmy w Moskwie Kolegium Teologii Katolickiej im. św. Tomasza z Akwinu. Jego filie znajdują się w Petersburgu, Kaliningradzie, Saratowie, Orenburgu. Łącznie uczy się tam około 600 studentów. Jest to uczelnia dla świeckich. Również w 1991 powstało seminarium duchowne. Początkowo nauka odbywała się w prywatnych mieszkaniach w Moskwie. Niedawno zostało przeniesione do historycznego budynku w Petersburgu. Studiują w nim 46 seminarzystów. Dziesięciu wyjechało na studia za granicę. Od 1994 wychodzi tygodnik „Świat Ewangelii”, a od kwietnia br. mamy jednogodzinny program w radio państwowym, który mogą słuchać na razie

tylko mieszkańcy Moskwy - 12 mln osób.

- A ile jest budynków kościelnych?

- Oficjalnie 20, z tego w 11 trzeba przeprowadzić kapitalny remont. Jest też 25 kaplic. Wiernych według szacunków - jest ok. 300 tys., modlą się po domach. Władza niechętnie oddaje budynki kościelne. Często formalności dokonuje się tylko na papierze. Za przykład może posłużyć kościół pw. św. Wojciecha w Kaliningradzie. Budynek przekazano nam w 1992 r. Nie możemy jednak z niego korzystać, gdyż do dzisiaj nie wyprowadziły się z niego m.in. państwowe instytucje.

- Kim są wierni? Czy to tylko ludzie starsi, którzy przez kilkadziesiąt lat kulturowali w domu, po cichu, zakazaną wiarę?

- Charakterystyczne jest to, że katolicyzm w Rosji przyciąga ludzi młodych. Przeważa inteligencja. Nauka społeczna Kościoła wzbudza ogromne zainteresowanie. Przychodzą do nas również prawosławni i niewierzący.

- O Kościele katolickim w Rosji mówi się, że jest Kościołem polskim, ponie-

waż większość wyznawców stanowią Polacy, ich potomkowie lub osoby wywodzące się z rodzin mieszanych.

- Nie można tego uogólniać. Aczkolwiek jest w tym trochę prawdy. Ja sam pochodzę z rodziny polskiej. Urodziłem się na Białorusi w ZSRR. Nigdy jednak nie uczyłem się języka polskiego. Pierwszą polską książkę czytałem ze słownikiem i to dopiero na studiach w Petersburgu. Wielu Polaków w Rosji w ogóle nie mówi po polsku, często nawet nie wiedzą że są Polakami. Byli obywatelami radzieckimi, teraz są obywatelami Rosji. Kościół prawosławny wołałby, abyśmy zrezygnowali z mszy po rosyjsku, ponieważ utarło się, że Rosjanie to prawosławni, a katolikami są Polacy, Litwini, Niemcy. Teraz to się zmienia. Wśród katolików są też Rosjanie, którzy wywodzą się z rodzin niewierzących.

- Msze i nabożeństwa odprawiane są w wielu językach jednocześnie, czy właśnie dlatego, że ludzie nie znają polskiego?

- Dlatego, że przynależą do różnych grup narodowościowych. Kilkujętyczność w byłym ZSRR jest zjawiskiem normalnym. Na przykład, w niedzielę odprawia się w Moskwie 19 mszy św. w dwóch kościołach. W trzech ambasadach (amerykańska, włoska, niemiecka) i dwóch domach matki Teresy z Kalkuty. W kościele pw. Niepokalanego Poczęcia Matki Boskiej nabożeństwa prowadzi się w 10 językach.

- Podczas uroczystej mszy w Królewcu odprawianej po łacinie słuchałem kazania księdza arcybiskupa wygłaszanego jednocześnie w czterech językach. Inaczej zwracał się ksiądz do Rosjan, a inaczej do Polaków...

- Rzeczywiście władam sześcioma językami, bo taka jest potrzeba pracy duszpasterskiej w Rosji. Nie mogę mówić tego samego do różnych ludzi, ponieważ każda nacja ma swoją tradycję, historię i czegoś innego od duchownego oczekuje.

- Jaki jest stosunek państwa do Kościoła? Dawniej uczestniczenie w nabożeństwach było zakazane. Osoby wierzące były represjonowane.

- To represjonowanie różnie się objawiało. Kiedyś zostałem za pójście do kościoła wytargany za uszy. Innym razem zdjęto moje zdjęcie z tablicy eksponującej najlepszych uczniów. Potem w jednej ze szkół tłumaczono mi, że nie mogę zostać nauczycielem, bo nie można wpajać ideologii komunistycznej, jeśli się jest wierzący. W innej szkole, już w Petersburgu, nikt nie przyglądał się mojemu życiu duchowemu. Jednak dawniej sytuacja była chyba prostsza. Kościoły zabierali komuniści, a teraz nie oddają ich ci, którzy robią w nich pieniądze. Zmieniły się prawa własnościowe. Prywatna firma, poprzez zasiedzenie w budynku kościelnym, ma do niego prawo. Ważnym problemem jest także uzyskiwanie wiz dla duchowieństwa zachodniego na wjazd do Rosji. Są trudności z rejestracją księży. Rosjanie chcą, aby pracą duszpasterską zajmowali się księża rosyjscy a nie obcy, ale tych swoich jeszcze nie wykształcili. Na konferencję o św. Wojciechu do Kaliningradu nie przyjechała delegacja niemiecka. Nie wydano im wiz, chociaż zaproszenia były prawidłowo wystawione. O władzy można powiedzieć tak: nie rugają, ale i kościołów nie oddają.

- A jak wygląda dialog z innymi kościołami, mam na myśli przede wszystkim Kościół prawosławny?

- Jeszcze do niedawna oskarżano nas o ekspansję. Dzisiaj wchodzimy w etap współpracy. Wraz z Cyrylem, metropolitą prawosławnym i Pietrem Konowalczykiem pastorem zorganizowaliśmy dwie duże konferencje ekumeniczne. Czujemy, że jesteśmy sobie potrzebni, otwieramy się na współpracę. Od pięciu lat, podczas tygodnia modlitw o jedność chrześcijan, na nasze nabożeństwa przychodzi ksiądz prawosławny i nawet wygłasza kazania, za które dostaje oklaski. Jestem optymistą, chociaż sytuacja Kościoła w Rosji uzależniona jest jeszcze od sytuacji politycznej.



Od „Jeleniej Góry” do „Janny”

Tragiczne morze

(dokończenie)

„Jelenia Góra” to był początek listy ciemnych dramatów, na końcu której los dopisał teraz kolejną tragedię: na statku „Janna”. Przypomnijmy: dwaj kapitanowie „Jeleniej Góry”, kapitan „Ziemi Lubelskiej”, kapitan tankowca „Kasprowy Wierch”, kapitan „Szymonowskiego”...

To tylko wybrane przykłady zaginięć i gwałtownych śmierci marynarzy, z przełomu lat 1977-1984. Przedstawienie ich opinii publicznej w „Wybrzeżu”, wywołało kolejne publikacje rozmaitych autorów (dziennikarzy, marynarzy, prawników, psychologów), w różnych pismach. Były także polemiki - np. „Głos Wybrzeża” z inspiracji lidera ówczesnych branżowych związków zawodowych PLO, zauważył zgola niepatriotyczne ocernianie żałog naszych statków... Generalnie jednak zwracano uwagę na brak kompleksowej analizy śmiertelnych tragedii morskich, domagano się określenia ich przyczyn i działań zapobiegawczych.

Nie przyznać się

Pod wpływem opinii publicznej, środowiska ludzi morza, rodzin zaginionych marynarzy, prokurator generalny (wówczas był nim Józef Żyta), polecił ponownie zbadać akta spraw, nazwanych umownie „Śmiercią kapitanów”. Spowodowało to wizytę w Gdańsku delegacji z prokuratury generalnej. Jej wynikiem była opinia podpisana przez rzecznika prasowego, wiceprokuratora Prokuratury Generalnej, Tadeusza Gielo. Jak było do przewidzenia, uznał on bezzasadność skierowania do sądu którejkolwiek ze spraw. Stwierdził, że „wnikliwie zbadano akta ośmiu postępowań przygotowawczych z lat 1977-1984” i podtrzymano wszystkie decyzje o umorzeniu śledztwa. Jak się potem okazało, delegaci ze stolicy, ograniczyli się do wysłuchania opinii prokuratorów, którzy te postępowania utrupili...

Jednocześnie prokurator Gielo potwierdził, że istnieje pilna potrzeba podjęcia kompleksowych działań dla umocnienia pozycji kapitanów i kondycji psychofizycznej naszych marynarzy. Należy też pilnie rozwiązać zagadnienie zabezpieczenia statków, w przypadku nadzwyczajnych wydarzeń. Słowem: pouczyć, przeszkolić, nakazać. Ale nie przyznać się do błędów i uchybień. Tak jest do dziś. Albo jeszcze gorzej...

Nie ujrzeli Hongkongu

Przodujące miejsce w czarnych scenariuszach marynarskich śmierci, obok linii zachodnioafrykańskich, tradycyjnie należy do tras azjatyckich, zwłaszcza chińskich. Wtajemni-

czeni twierdzą, że sytuacja ta wiąże się z przemysłem narkotyków. Dla hinduskich bluzek czy singapurskich telefonów nie opłaca się przecież zabijać... Jak w ubiegłej dekadzie tak i teraz, na wodach azjatyckich zdarza się najwięcej tragedii. Nasze sądy nie rozstrzygnęły dotąd żadnej z nich.

Oto przykład: 25 października 1994 na redzie Hongkongu, ze statku Chipolbroku „Parandowski” zniknął 50-letni radiooficer. Kulturalny, legitymujący się aktualnym świadectwem zdrowia (badania wykonał 4 mies. wcześniej), koleżeński, usłużny, złota rączka do elektroniki. Ponadto człek rodziny, niepijący, katolik.

Poprzedniego dnia posprzątał magazynek radiostacji. Następnie, już w porcie, miał pomóc kapitanowi w zakupie telewizora. I oto nie ma go. W jego kabinie, na stole, znaleziono osobiste przedmioty: klucze, okulary, pieniądze, notesy. A także kartkę z ledwie czytelnymi bazgrołami: „Nie szukajcie mnie to chyba AIDS”... Szukali (raczej niespiesznie; sondowała wokół wodę wezwana na statek chińska policja) - bez rezultatu.

W Gdyni zniknięcie radiooficera zakwalifikowano jako oczywiste samobójstwo. Choć tym razem nawet prokurator (Prokuratury Rejonowej w Gdyni) miał wątpliwości: skąd takie bazgroły u człowieka, który zwykle starannie pisał? Dlaczego nie zostawił listu do rodziny? Nie poczekał na wizytę u lekarza w Hongkongu? A wreszcie, jeśli podjął tragiczną decyzję w samotności (nikomu się nie zwierzył), to czemu nie odszedł w taki sam sposób? Zabazgrana kartką naraził swoją rodzinę na upokorzenie, niepokój, biedę. Bliskim samobójców nie wypłaca się bowiem odszkodowania za śmierć żywiciela, o tym wiedzą wszyscy marynarze...

Prokurator nie znalazł odpowiedzi na te pytania, ale nawet gdyby tak było, sprawa pewnie nie trafiłaby do sądu. Ciała nie znaleziono i był list pożegnalny...! Tymczasem wdowa jest przekonana, że jej męża zamordowano. Ma zastrzeżenia do śledztwa, a także sugestie, którym nie sposób odmówić logiki. Np. taką, że ową fatalną kartkę napisał pod przymusem. Zrozpaczona kobieta u nikogo jednak (prócz wróżbitów i jasnowidzów), nie znajduje posłuchu. Jeszcze walczy. Jednak z, upływem czasu, szanse że coś wskóra, maleją.

Nie miała takich trudności rodzina 33-letniego motorzysty ze statku „Karłowicz”, również należącego do Chipolbroku. Zaginął on na redzie Hongkongu (niemal w tym samym miejscu co radiooficer), w dwa tygodnie później. Jego ciała także nie odnaleziono. Nie pozosta-

wił jednak żadnego listu, więc jego zniknięcie uznano za wypadek przy pracy. Oczywiście, z braku dowodów winy osób trzecich, i ta śmierć nie doczekała się sądu...

Suma desperacji

Bezpieczeństwo ludzi - zarówno na polskich jak i na obcych statkach - zastraszająco się pogarsza. A jednocześnie rośnie obszar bezkarności ewentualnych sprawców. Jeśli w dziesięciolecie 1975-1985, z nie wyjaśnionych przyczyn zaginęło lub nienaturalnie zmarło, 10-12 naszych marynarzy, to w ostatnich latach, los taki spotyka co najmniej trzech rocznie. Są to dane oficjalne. A nie wiadomo ilu ginie w sposób tak zakamuflowany, że nie budzi to żadnych podejrzeń. Odległość,

upływ czasu i ludzka niepamięć, robią swoje. Werdykt „samobójstwo” zwalnia załogi od nekających zeznań i tzw. prześwietlania, armatorom oszczędza sum odszkodowawczych, sądom ujmuje pracy. Nie wydały one dotąd nawet precedensowego wyroku...!

Z wszelkich reguł wylamuje się tragedia, jaka wydarzyła się na statku „Janna”. Znaczący linii zachodnioafrykańskich, na pytanie o przyczyny krwawej jatki na mostku tej jednostki twierdzą, że mogły to być nieporozumienia dotyczące rozliczeń finansowych (pod wszystkimi banderami odchodzi tam teraz przemysł całych kontenerów papierosów i alkoholu). Różnice w mentalności niemieckiego kierownictwa i polskiej załogi. W końcu zaś klimat.

Okolice Abidżanu to mokry tropik, w którym słońce szybciej uderza do głów, a członki jakby pływają we własnym sosie. W takich warunkach każdy kieliszek czegoś mocniejszego niż coca-cola pozbawia przytomności. Człowiek robi się niecierpliwy i prędko... Ostro żyje, szybciej umiera, błyskawicznie zabija.

Zupełnie nic nie wiemy o ostatnich chwilach zaginionych kapitanów z „Jeleniej Góry”, radiooficera z „Parandowskiego”, chiefa ze statku „Łódź”. Nie domyślamy się nawet, jak przed wysprzątniem wyglądała kabina kapitana „Ziemi Lubelskiej”? Może podobnie jak mostek „Janny”?

Grażyna Murawska



Fot. Krzysztof Kamiński

„Janna” - ustalenia prokuratury

Morderstwo na niemieckim frachtowcu „Janna” u wybrzeży Afryki nastąpiło prawdopodobnie na skutek sprzeczki, do której doszło gdy dwaj polscy marynarze weszli na mostek, będąc pod wpływem alkoholu. Tego zdania jest prokuratura w Oldenburgu, która zapoznała się z ustaleniami funkcjonariuszy Federalnego Urzędu Kryminalnego BKA.

W dniach 13-17 grudnia przebywali oni w Abidżanie, stolicy Wybrzeża Kości Słoniowej, dokąd statek wpłynął 12 grudnia. Jak poinformował w czwartek rzecznik prokuratury, funkcjonariusze dokonali oględzin statku, który już wcześniej zbadała miejscowa policja. Dwaj podejrzani Polacy, w wieku 29 i 42 lat, zostali osadzeni w areszcie i przesłuchani. Zabezpieczono nóż, przypuszczalne narzędzie zbrodni. Z tego, co obecnie wiadomo, mordercy wrzucili do morza nie tylko ciała ofiar, kapitana i głównego mechanika, ale także własną odzież, co zaobserwowała reszta załogi. Rzecznicz prokuratury pochwalił 1 oficera. Z dotychczasowych ustaleń można wnosić, że dzięki jego „roztropnej i zdecydowanej interwencji” nie doszło do dalszego pogorszenia sytuacji. Nie ma podstaw do twierdzenia, że był to bunt załogi - oznajmił rzecznik. Tymczasem statek odplynął już z Abidżanu. W styczniu jest spodziewany w jednym z portów holenderskich. Prokuratura liczy się z tym, że sprawę przejmie inny organ, np. polski. Do tego czasu będzie jednak prowadzona w Oldenburgu.

(PAP)

Zawsze mnie dziwi, dlaczego „przyłtaczająca większość” nie przytłoczy skutecznie „odosobnionych jednostek”, ściągających wstyd i oślawę na całe środowisko.

Nieliczni za wielu

Pomysły humanisty

Wszyscy wiemy, co powiedział Churchill po bitwie o Anglię: „Nigdy tak wielu nie zawdzięczało aż tyle tak nielicznym”. Z tym „nigdy” to trochę przesadził, bo w wojenno-retorycznym zapale nie wziął pod uwagę, iż przynajmniej od 150 lat nieporównanie więcej „wielu” zawdzięcza zdrowie i życie nieporównanie mniej licznym. Myślę tutaj o wynalazkach i odkryciach medycyny, dokonywanych przez szczupłe zespoły, a nawet przez jednostki, a mających wpływ na losy milionów. Rzecz jednak w tym, że w bitwie o zdrowie sytuacja nie jest tak prosta jak w bitwie o Anglię, gdzie wszystko sprowadzało się do tego, by jeden Spitfire zestrzelił jak najwięcej Messerschmittów. Cokolwiek by bowiem lekarze wymyślili, żeby wyrzucić presję na rząd (a bez presji przecież niczego nie wywołują), zawsze to jakoś bokiem trafia w pacjentów. A człowiek tak długo popiera akcję protestacyjną, póki nie odejdzie z kwitkiem sprzed przychodni lub szpitala. Zawsze jakoś jest skłonny właśnie siebie uważać za „najcięższy przypadek” i w takiej chwili mówi: „No dobrze, rozumiem, że rząd trzeba zmusić, ale dlaczego ja mam na tym cierpieć?” A już szczególnie niechętny jest do znoszenia skutków wspomnianej presji, gdy słyszy w telewizji, że lekarze domagają się m.in. pensji w wysokości trzykrotnej średniej krajowej.

Trzykrotna średnia to jest wpławić małe piwo w porównaniu z zarobkami „lepszej budżetówki” - posłów, senatorów, pracowników urzędów centralnych, ale ogromna część zatrudnionych zarabia poniżej średniej. Ci „niżsi średniacy” najbardziej boją się odpłatnej opieki lekarskiej, najdotkliwiej odczuwają konieczność datków, kopertówek itp. za zabiegi i najsrożej są zawzięci na „baronów medycyny”. O ten epitet Andrzeja Szczypiorskiego obrazili się uczeni lekarze, stanowiący przytłaczającą większość. Zawsze mnie dziwi, dlaczego „przyłtaczająca większość” nie przytłoczy skutecznie „odosobnionych jednostek”, ściągających wstyd i oślawę na całe środowisko. Teraz, kiedy w środowisku wrze, jest okazja jak znalazł, żeby baronów wysłać na pierwszą linię frontu: na strajk wyborczy. To baronowie przecież obsługują prominentów i milionerów, szare eminencje i „autorytety moralne”. Niech tedy zamkną na miesiąc dwa prywatne gabinety, niech przyjmują w czasie pracy na państwowej posadzie tylko rzeczywiście najcięższe wypadki i uprzywilejowanym osobom dadzą posmakować udręki ludzi z szarego tłumu.

Gdyby jeden z drugim nasiedział się w poczekalniach, pojadł szpitalnego wikt, uznałby sprawę za palącą i swoją. Baronom w charakterze posiłkowej kampanii karnej można by podesłać lekarzy, którzy wystawiają lipne zwolnienia ludziom z polityki, gospodarki i mafii, żeby nie musieli stawać przed sądem („przyłtaczająca uczeni większość” wie, którzy z kolegów i za ile to robią). Tożby wtedy mnożyły się naciski na rząd - aż by kable telefoniczne topniały!

I tak to nieliczni, ale doborowi, dosoliliby skutecznie nielicznym, ale wpływowym. Służba zdrowia i pacjenci by wygrali i cytowane na początku słowa Churchilla zyskałyby nowe zastosowanie.

Janina Wieczerska



Zbliżenia

Mało brakowało, a Marek Citko zostałby gdańszczaninem. Bowiem najpopularniejszy obecnie polski piłkarz zamierzał studiować na oliwskiej AWF. - Ale nie zostałem przyjęty - wspomina zawodnik łódzkiego Widzewa.

Marek Citko ma ogromny talent piłkarski. Potrafi pięknie kiwać rywala na boisku. Piłka niemal przykleja się mu do nogi. Przez całe minuty nie sposób jej odebrać. Wykonuje zwód za zwodem, świetnie kręci i ciągle jest przy piłce. Przeciwnicy padają jak długi na murawie i klną pod nosem, a publiczność wyje z zachwytu i skanduje jego nazwisko. Citko gra prawie jak Pele.

Dar i praca

- Mój talent to dar od Boga oraz ogromna praca - ocenia 22-letni zawodnik. - Gdy grałem jeszcze w Jagiellonii Białystok, nawróciłem się i zacząłem postępować według Ewangelii. Od tamtej pory systematycznie podnoszę swoje umiejętności sportowe. Traktuję bardzo poważnie obowiązki zawodnika i staram się nie ulegać pokusom, na które jest narażony młody człowiek - ujawnia swój stosunek do życia.

Przed kilku laty był już na zakręcie kariery. W rodzinnym Białymstoku wpadł w złe towarzystwo. Prowadził bujne nocne życie, popijał i oddawał się namiętnościom hazardu. Staczał się na margines. Kiedy popadł w długi i przegrał dwuletniego małego fiata podarowanego przez rodziców, nagle się opamiętał.

- Pewnego dnia - mówi wpadła mi w ręce Biblia i wtedy postanowiłem zmienić swoje życie. Od tamtej pory codziennie się modlę, staram się przyjmować komunie świętą. Nie czytam już nawet brukowców, lecz głównie prasę katolicką.

Nawrócony

Z początku nie pasował do futbolowego towarzystwa, w którym nieposłuszna piłka prowokuje dosadne przekleństwa. W łódzkim Widzewie, do którego trafił latem 1995 roku, nazywano go „plebanem”, mówiono o nim „brat Marek”. Zdarzały się żarty, że z niego żaden chłop i przekreśli nazwisko. Lecz z czasem kpina przerodziła się w podziw.

- Zaczęli mnie szanować, że o sprawach wiary mówię otwarcie, bez skrepowania i strachu. Chociaż niektórzy także się dziwili, że nie traktuję tego jako wyłącznie sprawy prywatnej. Ale Chrystus mówi: „kto się przyzna do mnie przed ludźmi, tak i ja się przyznam do niego”.

W sierpniu, gdy cała drużyna przygotowywała się do walki o Ligę Mistrzów, wsiadł po treningu do samochodu i dogonił

Marek

pielgrzymkę zmierzającą do Częstochowy. Przeszedł z panikami kilkanaście kilometrów, a nazajutrz znów ćwiczył na boisku. W Łodzi bierze aktywny udział we Wspólnocie Chrześcijańskiej Ruch Światło i Życie przy kościele św. Teresy. Na uchwycie lusterka w swoim aucie zawiesił różaniec.

- Nieraz czuję się tak zmęczony treningami, że wieczorem szybko zasypiam i nie zdążę nawet zmówić modlitwy. Ale najważniejsze, żeby być w porządku wobec swojego sumienia, postępować zgodnie z Dekalogiem.

Idol

25 września nad Łodzią przechodziła straszna ulewa, panował okropny ziąb. Wszyscy

piłkarze po meczu z Atletico Madryt natychmiast chowali się w szatni, aby się ogrzać i wysuszyć. Na dworze pozostał jeden Citko, którego otoczył tłum nastolatków. Rozdawał autografy, pozował do wspólnych zdjęć.

- Z grupą młodzieży z Gdańska, przyjechał specjalnie na ten mecz mój znajomy kleryk, Jacek Pływacz. Chętnie spełniłem jego prośbę. Piłkarz Marek Citko szybko stał się idolem polskiej młodzieży. Pod adresem klubu napływa do niego mnóstwo korespondencji. Gdy wyjeżdża na zgrupowania, bierze ze sobą te listy i stara się wieczorami odpisywać.

- Otrzymuję różne listy - mówi. - Oto korespondencja jednego z katechetów, który nie może sobie poradzić z grupą



Citko

niesfornych chłopaków. Prosi, żebym napisał do nich kilka słów. Ma nadzieję, że oni mnie posłuchają. Najwięcej korespondencji otrzymuję jednak od wielbicieli - przyznaje Marek. - Oprócz autografu najczęściej proszą o numer prywatnego telefonu. Mam już sympatię - zwierza się piłkarz - ale musi upłynąć trochę czasu...

Od podwórka

Sportową karierę rozpoczął zwyczajnie - na podwórku. Potrafił 10 godzin dziennie latać za piłką na boisku „mieśniaka”, jak nazywali w Białymstoku teren dawnej szkoły przetwórstwa mięsnego. Czasami ledwo stał na nogach. Grywał też na „mleczaku” (szkoła mleczarska), ale prawdziwy futbol poznał w Jagiellonii.

- Kiedyś dostałem w meczu Jagiellonii czerwoną kartkę. Graliśmy chyba wtedy w Belchatowie. Ich obrońca nie odstępował mnie na krok i przy byle okazji kopał po kostkach. Straszne rzeczy wyprawiał, a sędzia wcale na to nie reagował, tylko się uśmiechał. W końcu się zdenerwowałem i przyznaję z pokorą, że trzasnąłem tego obrońcę.

Dostrzegli go w Widzewie. Latem 1995 rządzący Jagiellonią białostocki biznesmen Waldemar Dąbrowski, znany w mieście sprzedawca dywanów, dorabiał handlem piłkarzami. Za przejście Citki uтарыgował z kierownictwem Widzewa 3 mld starych złotych. Jesienią ubiegłego roku trener Władysław Stachurski powołał go do reprezentacji Polski. W jego karierze nastąpił błyskawiczny zwrot.

Rozgłos

Sława Citki dotarła nawet na Wyspy Brytyjskie. Przed meczem Anglia - Polska na stadionie Wembley w październiku br., przy opisywaniu polskiej drużyny, najwięcej uwagi prasa poświęcała właśnie jemu. W przeddzień pamiętnej rozgrywki londyński „The Sun” przerwał serię artykułów o piżackich wyczynach swojego asa „Gazzy” Gascoigne’a i wyciągnął smakowite epizody z życiorysu Citki. „Specjalny szpieg z Wisły”, gdzie przygotowywała się polska kadra, obszerne wspominał o dawnych wyczynach Marka w dyskotekach i salonach gier. Polskiego następnika porównywano w Londynie do piłkarza Arsenalu Paula Mersona, który po okresie bujnego życia, przepełnionego alkoholem, narkotykami i hazardem, poddał się skutecznej kuracji odwykowej.

- Boże, co tu ze mnie zrobiono - martwił się Marek po przyjeździe do Londynu. Żalił się, że także w polskiej prasie wyeksponowano okres jego mło-



Fot. PAP/CAF

dzieńczych błędów. W sumie wyszedł na strasznego chuligana.

Transfer?

- Niektórzy szukają w moim zachowaniu sensacji - zauważa. - Nawet moja religijność postrzegana jest jako coś dziwnego. Dopytują się, czy na boisku pamiętam o Bogu. Czy w sytuacji, gdy na boisku złapię przeciwnika za koszulkę, nie popełniam grzechu. Jestem przecież normalnym człowiekiem. W ferworze walki też potrafię powiedzieć brzydkie słowo.

Na piłkarskiej giełdzie jego notowania błyskawicznie poszły w górę. Rozeszły się nawet pogłoski, że wkrótce wyładuje w jakimś renomowanym klubie na Zachodzie. Transfer Citki, według tych prognoz, to rekordowa w polskim futbolu kwota

kilku milionów dolarów. Z tego powodu w jego dawnym klubie działacze szybko odkurzyli umowę transferową z Widzewem i w sądach, w Łodzi i Białymstoku, szukają haka. Nie chcą przegapić szansy, gdy ewentualnie dojdzie do podziału łupów. W Jagiellonii przez 12 lat uczyli Marka różnych kiwek, zagrywek i bez żalu patrzyli jak im w świat ucieka. Nie jeden tu Maradona się wychował, lecz potem ślad po nim ginał. Nikt się nie spodziewał, że nagle ten chłopak może zrobić światową karierę.

Tu mu dobrze

- Nie wiem co na ten temat myśleć - przyznaje - mnie jest dobrze tu, w Łodzi. To co zarobię w Widzewie, zupełnie mi wystarczy, żeby spokojnie żyć. Nie mam specjalnych planów

i nie wiem, co mnie jeszcze w życiu może spotkać. Nie myślę specjalnie o zagranicznym wyjeździe, tylko o dobrej grze. Pieniądze nie są w życiu najważniejsze.

W Łodzi mieszka sam w 3-pokojowym, klubowym mieszkaniu. Za dolę „wykopaną” ostatnio na boisku kupił sobie mieszkanie w Białymstoku, zamienił Poloneza na Hondę Civic. Jak może, tak ciągnie groź do rodziny. Pomaga bratu, dużo dał siostrze, no i urządza rodzinny dom mamy. Od czasu do czasu przekazuje pieniądze na cele charytatywne.

- Żyję tym, co mi dzień przyniesie - mówi skromnie, lekko się jękać. - Co mi Pan Bóg da i zabierze, co mi darami pobłogosławi.

Lech Ufel

Nie bacząc na nastroje poświętecznie - przedsylwestrowe, ekonomizujący tym razem Chrzan zjadliwie ocenia przemieszczenie chlubnych tradycji z prozą produkcji dla osiągnięcia zysku.

Nowa dyktatura proletariatu?

Chwyty dozwolone

Wpajano mi od pacholęcia, że sentymenty trzeba żywić dla rodziców i dzieci, dziadków i wnucząt, dla Ojczyzny przez duże „O”, jej hymnu, godła i sztandaru. Także dla pań sezonowych i pań na całe życie. Nigdy za to nie miłowałem pracodawców państwowych i pseudospółdzielczych, a tylko okazywałem im lojalność. Z przedstawicielami bezosobowych dawców pracy i pensji, z dowódcami w LWP, z prezesem, z rektorem, czy dyrektorami rozstawałem się bez szlochów, na chłodno, a gdy mnie w marcu 1982 wylewano z prasy za miłość do pięknej wówczas panny „S” - nawet bez podania ręki.

Jeno w Japonii pracownik na całe życie zawodowe wiąże się z firmą, ranki robocze zaczynając hymnem Mitsubishi, Hitachi, czy innego koncernu. W kapitalizmie, którego zręby wznosimy od siedmiu lat, wstydząc się nazwy, obrzydzonej przez lat 45 - normalną jest wielokrotna zmiana nie tylko miejsca pracy, ale zawodu, w zależności od popytu na daną profesję. Siła robocza jest tam mobilna, ludzie przenoszą się z Alaski na Florydę za pracę, a ta ruchliwość, jak zauważa Toffler w „Szoku przyszłości”, jest nieodzowna dla wielkich inwestycji. U nas inaczej. Mówią sondaże, że sensem państwowego zakładu przemysłowego winno być zagwarantowanie stałej pracy i płacy, a bynajmniej nie produkcja i generowanie zysku. Jeśli w okrutnym świecie, negującym najwyższe wartości moralne, zakład upada, nie mając na płace, materiały, a tym bardziej na modernizację - to godne i sprawiedliwe jest pomóc ze środków, uciulanych przez nasz polski naród, a zarządzanych przez rząd. Rozumowanie traci socjalizmem, ale kto inaczej sądzi, jest okrzyknięty za komucha, wygwizdany, albo zbombardowany zgniłymi jajami.

W zadumie przyglądam się w TVP coraz ostrzejszym demonstracjom, mającym przedłużyć niezmienny byt podupadających gigantów. Toż to prawdziwa dyktatura wielkoprzemysłowego proletariatu, o jakiej marzyli Marks z Engelsem, przypominająca szturm na Pałac Zimowy w Petersburgu - jakby z wcieleniem Lenina, miotającym płomienne słowa, tyle że jeszcze nie łysym i bez brody. Wczuwać się w rolę Mr. Lamana z Norwegii, albo innego rekina kapitalistycznego, zachęcane do lokowania kapitału w firmę z tak bojową załogą... Czy uwierzy w jej bezkonfliktowy nawrót od rajdów autokarami i walenia puszkami z farbą w przebrzydły URM - do zdyscyplinowanej pracy i skrupulatnego przestrzegania technologii? Może alternatywą jest zakonserwowanie fabryk o chlubnej tradycji w ich kształcie, zatrudnienie tak związanej z zakładem załogi jako przewodników szkolnych wycieczek na etatach Ministerstwa Kultury i Sztuki - z równoczesnym rozruchem zyskowej produkcji śmigłowców, statków, energii elektrycznej, węgla itp. gdzie indziej, bez obciążenia, ze zwerbowanym od nowa zespołem?

Pokalałem nieco poświętecznie - sylwestrowy nastrój, za co się kajam - życząc z całego serca moim Czytelnikom sukcesów w Nowym Roku!

Jan Chrzan

Wszystkim należałoby życzyć mnóstwa pieniędzy. Tyle, że wtedy byłaby inflacja i wszyscy mieliby dużo niczego.

Każdemu według potrzeb

Rejsy po gospodarce

W znanej balladzie poświęconej Franciszkowi Villonowi, Bulat Okudźawa śpiewał: *Gospodi, daj że każdemu, czewo u niewo niet*. Czy mogą być piękniejsze życzenia na Nowy Rok?

Jako ekonomiście wypada mi najpierw złożyć życzenia naszej gospodarce. Żeby politycy trzymali się od niej jak najdalej. Wszyscy, a szczególnie ci, którzy chcieliby być jak najbliżej. Nie dlatego, że marzę o żywiołowym, niekontrolowanym kapitalizmie. Polskiej gospodarce bardzo potrzebne są stabilne reguły gry, bardziej niż wiele innych rzeczy. A obecne stosunki polityczne tej stabilności nie gwarantują.

Pod choinkę (choć trochę już na to za późno) kupiłbym więc politykom grę strategiczną „Mały reformator gospodarczy”. Ilość uczestników dowolna, wszystkie chwytły (ze zrzucaniem cudzych pionków z planszy włącznie) dozwolone. Tam mogliby hasać do woli: prywatyzować i nacjonalizować, dotować i koncesjonować, korumpować siebie i innych, wybierać się do rad nadzorczych i zarządów itd., itp. Gra powinna być kolorowa, błyszcząca, o prostych, zrozumiałych nawet dla obywateli szkół podstawowych (pamiętajmy, że polityków mamy na obraz i podobieństwo nasze) regułach. Ze jednak każdy z graczy mógłby zmieniać w każdej chwili i interpretować wedle swego uznania. Krótko mówiąc, zabawka winna być taka, by uczestnicy nie chcieli się od niej oderwać i wrócić do dotychczasowych gier, w których pionkami jesteśmy my.

Nam, jako podatnikom, życzyć trzeba, abyśmy doczekali czasów, w których przepisy podatkowe na następny rok nie będą ustalane w listopadzie lub w grudniu. I tego, żeby przepisy były konstruowane w sposób taki, by każdy pracownik każdego urzędu skarbowego musiał je rozumieć tak samo.

Nam, jako konsumentom - aby rozpadli się w pył monopolisci tacy jak Telekomunikacja Polska SA i PZU. I tego, by swoboda wyboru na rynku była jak najszerza. Żeby nikt nie zmuszał nas do kupowania czegoś tylko dlatego, że jest to polskie, albo dlatego że, przeciwnie, jest to nie-polskie. Życzę także likwidacji ceł ochronnych i cen minimalnych. No i tego, byśmy mogli kupować tam, gdzie taniej, a więc m.in. w supermarketach.

Rodakom-handlowcom należą się życzenia przeciwne - aby supermarkety szlag trafił, a klienci ustawiali się w długich kolejkach do małych sklepików pełnych drogich produktów kupowanych od hurtowników za pół-darmo.

Związkom zawodowym życzę serdecznie kapitalizmu bez kapitalistów, który nie byłby zarazem komunizmem. „Solidarności” zaś, aby wreszcie doczekała się przywódcy, który nie chciałby być prezydentem, premierem ani ministrem.

Pracodawcom (czyli kapitalistom), aby potrafili zwiierać szeregi, jak ich pracownicy i potrafili walczyć o swoje prawa równie skutecznie jak tamci.

Ministrowi finansów życzę bardziej spolegliwego prezesa Narodowego Banku Polskiego, a pani prezes Gronkiewicz-Waltz - vice versa.

Ale gdybym to tylko ja miał mnóstwo pieniędzy, a reszta tyle co do tej pory? Wtedy byłoby w porządku? Jeśli tak, to pozostaną przy tej drugiej wersji. W końcu chociaż niektóre życzenia muszą jakoś odzwierciedlać realne możliwości gospodarcze. A ja ze swoimi potrzebami mieszcę się w tych możliwościach jak najbardziej. Daj każdemu poniemnożku i nie zabud' pro mienia!

Piotr Dominiak

Motto:

Oto moja
definicja piękna:
zdolność do zamiaru

Ezra Pound

Z Czesławem
Jakubczykiem, alpinistą,
a także żeglarzem, judoką,
narciarzem,
spadochroniarzem
i pletwonurkiem rozmawia
Grzegorz Rybiński



Kuba w drodze na Przełęcz Północną Everestu, zdobywanego w ub.r. przez międzynarodową ekspedycję od strony Tybetu. Poważne porażenie wzroku zmusiło go na wys. 7200 m do wycofania się z dalszej wspinaczki.

Fot. Piotr Pastelnik

Świat według

- Pełnia życia - jak byś zdefiniował to pojęcie?

- Utożsamiam je z poszukiwaniem doznań, przygód. Z pewnością każdy człowiek interpretował by to pojęcie na własną modłę, wedle potrzeb wynikających z wewnętrznego świata jaki w nas istnieje. Naturalnie zgodnie z zamiłowaniem, poczuciem piękna a także dążeniami do wytyczonych celów.

- A twój świat wewnętrzny - jaki jest świat według Kuby?

- W wartościach wyznawanych cenę sobie najwyżej te, które z pewnością nie wyróżniają mnie wśród większości ludzi. Nicco inny jest może tylko scenariusz życia, jaki dla siebie układam i jaki próbuję finalizować. Scenariusz podpowiadany przez moją wyobraźnię i moje marzenia. Tym światem - jak wiesz - jest przede wszystkim alpinizm, dziedzina w której najbardziej pragnę spełnienia. To obszar w jakim znajduję radość życia.

- A proza, codzienność...?

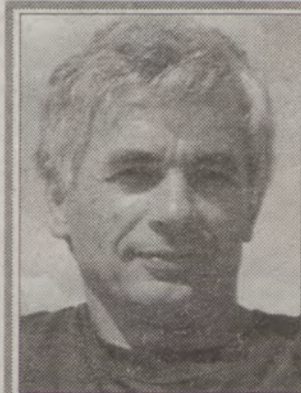
- Staram się, żeby była podporządkowana tej pasji. Upraszając i nauczając na co dzień, zimą i latem, technik judo, narciarstwa, pływania, windsurfingu, wspinaczki, pletwonurkowania czy spadochroniarstwa, pozostaję w kręgu moich zamiłowań. Podtrzymuję w sobie zdolność do wyczynu. Nie oznacza to rzecz jasna, że pracę na uczelni traktuję drugoplanowo, albo ją lekceważę. Mam przecież świadomość, że z moich przyjemności po prostu kiedyś

wyrosnę, nie będę w stanie im sprostać.

- Nadajesz swojemu alpinizmowi charakter wyczynu. Tyłko wyczyn i nic więcej?

- Jest to dla mnie ważne ale nie w pełni. W „Adventure Club” Uniwersytetu Gdańskiego krzewię dewizę: być, widzieć, doznać, wchłonąć coś z inności. Uważam, że to co daje dalekie wyprawy w sensie poznawczym zapada w nas na lata. Jest to tylko pozornie zastępy w pamięci czas. W rzeczywistości te podróże pozwalają wzbogacać skarbnicę wiedzy o świecie. Stymulują z zaciętych obserwacji i kontaktów nierzadko nowe cele życiowe, idee, postawy, aspiracje, umiejętności. Jest to swego rodzaju przenikanie do innych kultur; przenikanie kreujące myślenie bez ograniczeń, myślenie refleksyjne, krytyczne, ogarniające szerszy horyzont.

- W górach i na morzu trudno doświadczać takiej „inności” - jak to nazywasz. Tam toczy się raczej żywot pustelnika. Byle dalej od hałaśliwej cywilizacji...



Himalchuli, Ultar, Haramosh - szczyty w dwu gigantycznych pasmach Himalajów i Karakorum; znaczące wspinaczki w Andach, Kordyliarach, Kaszmirze i Alpach; 22 wyprawy na najwyższe góry niemal całego świata - oto alpinistyczna wizytówka Czesława Jakubczyka, znanego w międzynarodowym środowisku wspinaczy pod imieniem Kuba. Tak też zwą go żeglarze (przeplętnął jachtem m.in. Atlantyk), windsurferowcy, judocy, pływacy, pletwonurkowie, narciarze i spadochroniarze. Tak, nie inaczej, mówią do niego przyjaciele.

Czesław Jakubczyk jest asystentem na Uniwersytecie Gdańskim. Pracuje nad doktoratem z socjologii.

Koronę Himalajów, w pasjonującej - pamiętamy - rywalizacji, z Jerzym Kukuczka, zdobył jako pierwszy Włoch Reinhold Messner. Czternaście ośmiotysięcznych szczytów do dziś pokonało także trzech innych alpinistów. Szwajcar Erhard Loretan, Meksykanin Carlos Carsolio i Polak Krzysztof Wielicki.

Korona Ziemi - najwyższe szczyty siedmiu kontynentów - czyli „Top seven”, wciąż czeka na polskich zdobywców. Ku ba stanął już na pięciu: w Ameryce Półd. osiągnął Aconcagua, najwyższy szczyt Andów (6960 m); w Ameryce Półn. - McKinley w Kordyliarach na Alasce (6194 m); w Afryce - Uhuru Peak w Masajuie Kilimandżaro (5895 m); w Europie

- Elbrus na Kaukazie (5642 m); w Australii - Górę Kościuszki w Alpach Australijskich (2228 m). Pozostały mu do zdobycia - azjatycki Everest (8848 m) i Vinson (5140 m) na Antarktydzie.

Top Seven

Z Everestem zmierzył się w ubiegłym roku, biorąc udział w międzynarodowej wyprawie. Z walki o szczyt wyeliminowało go na wysokości 7200 m porażenie oczu, jakiego nabawił się używając zbyt

tanich alpinistycznych okularów przeciw-słonecznych. Ponowną próbę zdobycia najwyższego szczytu Ziemi ma zamiar podjąć w przyszłym roku. Zależało to będzie od przychylności sponsorów. Równie kosztownie zapowiada się wyprawa na Vinsona w Górach Ellswortha. Wyprawa tak kosztowna jak i trudna.

Dotychczas, drogę do sukcesów otworzyła Kubie m.in.: Centrala Paliw Naftowych w Gdańsku, Bank Gdański, Rada Miasta Gdańska, Elkor Mining w Gdańsku, Okręgowe Przedsiębiorstwo Energetyki Ciepłej w Gdańsku, Agencja Rozwoju Pomorza Gdańskiego, Urząd Wojewódzki (Wydz. Kultury Fizycznej, Nauki i Sportu), System Ochrony „Sezam”.

- Zdobywca Everestu i sześciu innych ośmiotysięcznych szczytów Piotr Pustelnik, tak o sobie i w ogóle o alpinistach powiada: „nowocześni pustelnicy - żartobliwy nomen omen - nie chcą być manekinami steryowanymi reklamą”. Powiedzieć „był dalej” od cywilizacji konsumpcji - to tylko część prawdy. Bo rzeczywiście nie gustujemy w klimatyzowanych hotelach, nie dla nas garnitury i krawaty, drinki i steki, dyskotekowe rozrywki i tym podobne fanfaronady. Tacy już jesteśmy. Nie kusz nas krajobrazy z kolorowych reklam. Przedkładamy nad nimi starą londonowską „tęsknotę za szlakiem”. Wybieramy przestrzenie urzekające pięknem natury, wolne od przyziemnych problemów. I nic nam więcej nie trzeba, no może poza odrobiną wyobraźni...

- ... że te oto zielone wyspy widziały „Otago” Conrada, albo „Szkuner Słońca” opisywany przez Londona...

- A szczęście? Skoro w alpinizmie wkalkulowane jest ryzyko - potrzebne jest szczęście...

- Na pewno. Ale biada tym, którzy szczęściu zawierzą bez reszty. Nigdy nie wiadomo kiedy i jak siły przyrody, los, zdradzą nas. Bywa, że okrutnie. Dlatego pierwszą zasadą w alpinizmie, tak zresztą jak i w bytowaniu codziennym, jest przewidywanie skutków każdego kroku, każdego wyboru. To swego rodzaju egzamin. Podczas wspinaczki tym trudniejszy, im bardziej groźne są zjawiska nękające człowieka, moce natury, z którymi przychodzi się zmagać, przed którymi trzeba się bronić, nad którymi trzeba zapanować. Ambicje powinny więc mieć tu swoje bariery, wytyczone przez rozagę. Każda zuchwałość ma przecież swoje granice. Tak więc w alpinizmie nie ma miejsca na grę sił organicznych i psychicznych poza wszelką kontrolą. A co dopiero mówić

- Każde zmęczenie zwraca nas ku sobie samym. Przywodzi do tych akumulatorów, z których istnienia zdajemy sobie sprawę dopiero w warunkach ekstremalnych. I najczęściej, nagle doznajemy olśnienia. Dostrzegamy szanse jakich nie braliśmy w ogóle pod uwagę. Znajdujemy rozwiązania we współpracy z partnerami, w technice... Nieoczekiwanie przypominają się metody jakimi z podobnych opresji ratowali się alpiniści, gdzieś tam w przeszłości. A i sami wpadamy na całkiem nowe, oryginalne, zbawienne pomysły. Szukamy sił także w innych wymiarach: w idei, w Najwyższym...

- Po takich dawkach wrażeń, po doświadczeniach z pogranicza życia i śmierci, bohaterowie wciąż nie czują się zmęczeni?

- Tylko w bajkach mają energię i siłę niewyczerpalną. A co do przeżyć doznawanych podczas wspinaczek, to myślę, że piętno jakimi się znaczą, nie tylko sprawdza siłę charakteru, wzbogaca wiedzę o samym sobie, ale i pozostawia wspomnienia, o których się nie zapomina. I choćby dla tych dreszczy warto mierzyć się z siłami, którymi gra los. Mierzyć się w milczeniu, bo o tym się nie mówi, bo to się przeżywa.

Kuby

- ... z pewnością jest w tym i doza romantyki, nawet w tym wysiłku związanym z pokonywaniem przeciwności losu. To wszystko nie wyklucza jednak otwartości na tę „inność” poznawanego po drodze świata. Wręcz przeciwnie. Częścią każdej wyprawy jest zaplanowane zwiedzanie krajów tranzytowych. Należy tylko ubolewać, że szczupłość finansów nie pozwala to czynić zgodnie z zasadą: „jeżeli chcesz dojechać - jedź dyliżansem, lecz gdy chcesz podróżować - idź pieszo”.

- No proszę, a mówią, że twoje życie nie można inaczej nazwać jak jednym wielkim szaleństwem.

- Tak na ogół myśli się o alpinistach. Oczywiście zdobywanie gór jest bardziej ryzykowne, bardziej niebezpieczne niż uprawianie np. szachów - skądinąd wielce cenionego przeze mnie zajęcia. Po części różnica w wyborze takich czy innych upodobań wynika nie tylko z temperamentu, ale i z predyspozycji, tak fizycznych jak i psychicznych.

o pokładaniu wiary w szczęście.

- Walczycie - jeśli tak można powiedzieć - mimo wszystkiego do upadłego...

- Zdarza się. Zwłaszcza w sytuacji zagrożenia życia. W zmaganiach z górami stonimy raczej od wścieklej żartowości, nie licząc się z własnymi siłami. Gospodarowanie nimi pozwala utrzymać ciągłą zdolność do wysiłku. To umiejętność, jaką pozyskuje się po latach.

- Słowem zmęczenie uczy umiaru.

- Niewątpliwie. Zmęczenie, niestety, jest wrogiem każdego przedsięwzięcia. Powiedziałbym przewrotnie - jest sednem sprawy, bo ma groźnego sprzymierzeńca. Jest nim zubożenie, paraliżujące siły motoryczne. Ostateczną klęskę wywołuje zatarata poczucia sensu co do zamiarów, utrata nadziei. W górach często oznacza to śmierć. Wyczerpanie przepłaca się życiem.

- Jak się temu przeciwstawiać, jak docieracie do źródła sił?



Jednym z najtrudniejszych szczytów „Korony Ziemi” jest McKinley na Alasce. Ku ba stanął już na jego wierzchołku.

Fot. ze zbiorów Klubu alpinistycznego

„Piszę, bo nie wiem. Literatura nie jest więc dla mnie ilustracją tego, co wiem, jest ledwo tłącą się lampą o wieczorze w dawnej chłopskiej izbie”...

„Widnokrąg” Myśliwskiego

Życie i liryka

Po dwunastu latach od wydania „Kamienia na kamieniu” ukazała się nowa powieść Wiesława Myśliwskiego „Widnokrąg”. Myśliwski należy do tych pisarzy, którzy żyją jakby w ukryciu - nie pchają się przed kamerą, nie pojawiają się na łamach pism obwieszając o swojej wybitności i planach, które trudno później zrealizować, nie pokazują się w tzw. środowisku, słowem - piszą gdzieś w samotności i pokazują się dopiero, gdy książka jest gotowa. Należy do tych twórców, którzy na pierwszym miejscu swojej świadomości artystycznej stawiają „nie wiem”, o czym tak pięknie i mądrze mówiła Wisława Szymborska w swoim noblowskim wykładzie. Natrafiłem na wypowiedź Wiesława Myśliwskiego z 1985 roku, w której mówił: „Piszę, bo nie wiem. Literatura nie jest więc dla mnie ilustracją tego, co wiem, jest ledwo tłącą się lampą o wieczorze w dawnej chłopskiej izbie, prowadzącą mnie po mrokach mojej niewiedzy, mojego nieodczuwania i nieprzeczuwania. Każde słowo jest wydarciem z siebie cząstki tajemnicy, każde zdanie poszerzeniem granic swojej wyobraźni, swojej wrażliwości”.

Ten pisarz, jak rzadko który, nie rozmienna swojego talentu na rzeczy nieważne, jakby miał przeczucie, że dana jest nam w życiu ograniczona ilość słów do wypowiedzenia i każde słowo wypowiedziane czy napisane, już drugi raz do nas w tej postaci nie powróci. Jesteśmy zalewani gadulstwem, każdy chce coś powiedzieć. Zauważmy, że nikt już nie umie rozmawiać, czyli słuchać drugiego. Myśliwski zna wagę słowa, stąd jego nieczęste książki; „Widnokrąg” jest jego dopiero czwartą powieścią. I znowu wybitną, znakomitą. Takie powieści powstają ze świadomością, że może już następnej nie będzie, że już wykorzystaliśmy limit przydzielonych nam słów. Takie powieści powstają też pod prąd czasu, w których są pisane. Stanowią wyzwanie dla tego czasu.

„Widnokrąg” próbuje ocalić i wskrzesić ulamek czyichś losów, utrwalić kawałek świata, który odszedł, ale odszedł niecałkiem, bo gdzieś w nas pozostał. Który jest owym metaforycznym widnokresem naszego życia i tego, co życie w nas pozostawiło - pierwsze słońce, postać matki pochylonej nad kuchnią, sylwetkę ojca na drodze, miłości, przyjaźni, bliskie śmierci. Od pierwszej chwili, kiedy siebie pamiętamy aż do chwili, kiedy nasz czas zaczyna się kurczyć i zostaje w nas tyle, ile zdaliśmy przeżyć i zapamiętać, albo chociaż przechować w złudzeniach pamięci. Ten nasz widnokrąg jest tym, co pozostaje po naszym życiu. Czy przeżyliśmy je w pełni, czy traciliśmy dzień po dniu, jakbyśmy mieli być na ziemi aż do ostatniego promienia Słońca. To nasz rachunek sumienia, którego nawet jeżeli nie będziemy zdawać przed Kimś, to na pewno w którejś chwili zdamy przed samymi sobą. A wtedy odsłoni nam się nasz widnokrąg i albo będziemy chcieli szybko zamknąć oczy, albo będzie nam żal żegnać się z nim.

Aleksander Jurewicz

Groza będzie tak wielka, że wielu ze strachu rozum postrada. Za nią przyjdą następstwa jej: głód i mór na bydło i dwie zarazy na ludzi

Co rok to koniec świata

Dla czytających przepowiednie opisanie przebiegu końca świata wydaje się rzeczą niezwykle prostą. Prorocy są zgodni, że najpierw dojdzie do wielkiej wojny, później wybuchu atomowego i w rezultacie do unicestwienia życia na Ziemi.

Czas apokalipsy

Jeżeli chodzi o czas apokalipsy sprawa zaczyna się komplikować. Jedni uważają, że zagłada jest możliwa tylko wtedy gdy w dacie stoją obok siebie dwie dziewiątki, inni że trzy. Niektórzy jasnowidzowie stawiają na zera lub piątki i na szczęście do tej pory zanotowano same pomyłki.

Ostatni, definitywny koniec świata przeżyliśmy pod koniec 1992 roku. Przygotowała się do niego jedynie garstka ludzi. Członkowie koreańskiej sekty „Czcieli Sądu Ostatecznego” spotkali się na umówionej polanie, aby kolektywnie ulecieć do nieba. Przedtem wszystko co mieli, łącznie z utrudniającymi wniebowstąpienie złotymi zębami oddali swojemu przywódcy. Niestety, tym prywatnym końcem świata zainteresowała się policja i w porę zatrzymała zarówno apokalipsę jak i proroka. Nie wzbudziło to specjalnych emocji, bo od początku świata jasnowidzowie zapowiadali jego rychły upadek, aby potem, w ostatniej chwili go odwołać. Znana amerykańska wieszczka, która trafnie przewidywała śmierć prezydenta Kennedy'ego, przewidywała też, że około roku 1980 wybuchnie wojna światowa zakończona straszną katastrofą. Na szczęście te wróżby się nie spełniły, podobnie jak wiele innych, bardzo starych proroców o końcu świata.

Strach opamiętania

Głównym zadaniem przepowiedni jest wzbudzenie strachu, który spowoduje, że ludzie w porę się opamiętają, ukorzą i nie dopuszczą by palec Boży zrobił w Ziemię pstryczkę i wszystko unicestwił jednym ruchem. Koniec świata miałby więc być naturalną konsekwencją naszego zachowania na Ziemi. Stąd większość proroców konsekwentnie wiąże się z religią. Tego typu przepowiednie na ogół nie dają jednak żadnej iskiere nadziei. Wydają się być nieodwracalne, jak choćby najchętniej czytane opisy wizji Malachiasza, XI - wiecznego irlandzkiego biskupa. Był on przekonany, że koniec świata zejdzie się z odejściem ostatniego papieża, „gdyż Chrystus powiedział, że jest z nami do

skończenia świata, a moce piekielne nie przemogą Kościoła”.

Numer 110

Malachiasz stworzył listę 112 papieży od Celestyna II aż do ostatniego Piotra Rzymianina, za pontyfikatu którego ma nastąpić koniec świata. Malachiasz scharakteryzował wszystkich ojców świętych łacińskimi kryptogramami dotyczącymi ich epoki, osobowości i pochodzenia. Proroctwo sugeruje, że Jan Paweł II ma numer 110 spośród 112 liczonych od św. Celestyna. Jak twierdzi Mariusz Karliński zajmujący się badaniem przepowiedni: „W rozmowie prywatnej biskupa Wojtyły z Ojcem Pio, ten ostatni miał go przywitać jako przyszłego papieża i męczennika. Nie jest powiedziane, czy oznacza to mę-

czeński koniec życia, czy męczeństwo za życia”. Ostatnim, 112 papieżem ma być Piotr II Rzymianin, który zostanie zabity przez agentów Antychrysta. Przepowiednię o ucieczce papieża po trupach kardynałów podczas ateistycznych rozruchów we Włoszech odnoszą niektórzy do Jana Pawła II. Sam Ojciec Święty tak odpowiedział pytany o tę przepowiednię: „No cóż, ja jestem gotów, nie wiem tylko jak moi kardynałowie”. Papieska replika nieco uspokaja, jednak oczekiwane od wieków pojawienie się Antychrysta, pod koniec XX wieku wydaje się realne.

Znamie na czole

Teologowie i egzegeci różnie interpretują owego „człowieka grzechu i syna zatracenia”.

W biblijnej Apokalipsie znajduje się fragment mówiący o kimś, „kto sprawia, że wszyscy mali i wielcy, bogaci i ubodzy, wolni i niewolnicy otrzymują znamie na prawej ręce albo na czole. I nikt nie może sprzedawać ani kupować, jeżeli nie ma znamienia”. Nowoczesna wersja tej przepowiedni mówi, że pewien obcokrajowiec w Pekinie obejmie stamtąd władzę nad światem, który będzie już całkowicie skomputeryzowany. Ludzie zostaną oznaczeni numerami, bez których nie będą mogli przeprowadzać żadnych transakcji. Niektórzy identyfikują przepowiedziane „numery” z numerem pesel, który musi mieć w tej chwili każdy Polak. Zostaje tylko pytanie: kto jest Antychrystem?

Jeszcze w połowie naszego wieku utożsamiano go z Hitlerem lub Stalinem. Dzisiaj dla wielu teologów stało się jasne, że Antychryst wcale nie musi być osobą ludzką. Może to być zjawisko społeczne o dużej sile niszczenia, na przykład totalitaryzm czy nazizm. Przepowiednia musi być jednak zrozumiała dla wszystkich, dlatego operuje pewnymi uproszczeniami. Wiele średniowiecznych proroców opowiada o końcu świata w czasach, gdy kobiety będą chodzić w spodniach, po miastach będą jeździć rozgrzane piece a po niebie latać żelazne ptaki. Dzisiaj te określenia, podobnie jak opis „wielkiego grzyba, który wyrośnie koło Pragi” są dla nas jasne, jednak przed wiekami budziły grozę.

Groza, głód i mór

W większości przepowiedni apokalipsa nie będzie oznaczać unicestwienia całego życia. Wiąże się z wojną, prawdopodobnie nuklearną, w czasie której straty w ludziach mają wynieść około 70 proc. a „naród położony na południu Polski wyginie w niej zupełnie. Groza będzie tak wielka, że wielu ze strachu rozum postrada. Za nią przyjdą następstwa jej: głód i mór na bydło i dwie zarazy na ludzi, które więcej ludzi pochłoną niż sama wojna”. Strach o tym mówić, ale prorocy zgodnie wskazują na ostatnie dziesięciolecie XX wieku. 1991 rok zapoczątkował kilkuletni okres uspokajania się aktywności Słońca. Miała ona maleć przez kilka lat, mniej więcej do roku 1995, później zaś wzrosnąć do maksimum. Spokojne Słońce sprzyja dyscyplinie społecznej, rządowi autorytarnemu i dyktaturom, nie sprzyja zaś powstaniom, rewolucjom i strajkom i rozwodom. Jak twierdzą badacze tematu, obecne lata w byłym Związku Radzieckim mogą sprzyjać odradzaniu się tendencji totalitarnych, jak i przeciwnie, odradzaniu się tęsknot do ekspansyjnego caratu. Przewiduje się wybuch krwawego powstania na Wschodzie, prawdopodobnie na Ukrainie. Wchodząc w rok 1997, okres sprzyjający odwadze, awanturom, rewolucjom i powstaniom. Od lat w przepowiedniach pojawia się wielka wojna chińsko - rosyjska i przesunięcie granic Chin aż do Bugu.

Sami sobie winni

Nadchodzący rok to także okres wielkich przemian w Polsce. Jasnowidzowie twierdzą, że być może znaleziony zostanie poważny kandydat na... pol-

Co roku jest to samo.
Zawsze w grudniu ktoś
straszy nas końcem
świata. Co ten koniec
ma oznaczać? Czy na-
gle przestanie istnieć
Ziemia? Czy też zginą
tylko ludzie i zwierzę-
ta? A może nasza pla-
neta ocaleje, lecz pozo-
stanie na zawsze nie-
płodną pustynią? Kie-
dy zacznie się totalna
zagłada i w jaki sposób
zostanie zakończona?
Kto nam ją zgotuje?

skiego króla. W czasie ewentualnej wojny - którą rok w rok prorokuje się na maj - nietknięty zostanie Dolny Śląsk i rejon Międzyrzecza. Najgorsze jest jednak to, że przepowiednie mówią bardzo jasno: sami sobie jesteście winni. Obecnie ludzie niszczą więcej tlenu niż kiedykolwiek wcześniej. Szczególnie samoloty pochłaniają olbrzymie ilości tej cennej substancji. Jeden Boeing 707 spala 35 ton tlenu podczas każdego lotu nad Atlantykem! Każdego dnia, w powietrzu znajduje się około 3000 samolotów odrzutowych. Za pięć lat możemy nie mieć już czym oddychać. Naprawdę groźne są nie przepowiednie, ale postęp dokonany przez człowieka. Nie dociera do nas, że sami sobie gotujemy koniec świata. Ale prorocy i to przewidywali.

- Jak złodziej zaś przyjdzie Dzień Pański - pisał Paweł Apostoł - w którym niebo zaświscze, gwiazdy się w ogniu rozsypią, a ziemia i dzieła na niej zostaną spalane...

Opr. Jagoda Lewicka



Rys. Marek Widziński



Dr Grzegorz Szychliński uważa, że najstarsze zegary gdańskie powinny posiadać, tak jak przed wiekami, wskazówki godzinowe, tzw. bożą rękę.

Fot. Maciej Kosycarz

Nim wybije północ

Gdańskie zegary

Przed wojną w Gdańsku czas odmierzano ponad 50 zegarów wieżowych i fasadowych. Do dziś przetrwało zaledwie kilkanaście: zarówno stare zegary sprzed kilku stuleci i nowsze, z początków XX wieku.

Pierwsze zegary mechaniczne umieszczane na wieżach pojawiały się na przełomie XIII i XIV stulecia. Potem do zegarów dodano ozdobne tarcze i przekładnie poruszające wskazówki.

Godziny wskazywane „bożą ręką”

- W Gdańsku wiele zrobiono dla ratowania budowli zabytkowych, ale zapomniano o historycznych zegarach wieżowych - twierdzi dr Grzegorz Szychliński, inspektor ds. zabytków techniki wojewódzkich służb konserwatorskich i kierownik Pracowni Zegarów Wieżowych Muzeum Historii Miasta Gdańska. - Do dziś zdołano zrekonstruować zaledwie dwa.

Niestety, mechanizmy najstarszych gdańskich zegarów przerabiano w różnych okresach, pozbawiając je charakterystycznych wskazówek godzinowych (tzw. boża ręka, w formie ręki z wysuniętymi dwoma palcami wskazującymi i z przeciwwagą w postaci półksiężyca). Na ich miejscu zainstalowano ozdobne wskazówki podwójne. Najstarsze zegary były wykonywane ręcznie i nie chodziły zbyt dokładnie.

Czas z ratusza

W 1945 roku spłonął Ratusz Głównego Miasta. Na elewacjach wypalonych wież zachowały się cztery tarcze zegara,

wały się cztery tarcze zegara, a archaiczny mechanizm przetrwał płomieniem. Niestety, cenny mechanizm wyrzucono, choć mógłby być ozdobą każdego muzeum.

- Pewne jest, że tarcze - z gotyckimi, połączonymi cyframi - pochodzą z 1560 roku - mówi dr G. Szychliński. - Trzy mają średnicę 5 m, a jedna - 3,7 m. Wykonanie mniejszej tarczy nie było przypadkiem. Znajdowała się ona na elewacji północnej wieży, zasłoniętej przez kościół Mariacki i niewidocznej dla mieszkańców ulic Grobla I, II, III i IV. Dlatego też ufundowali oni oddzielny zegar, który umieszczono na kościele i nazwano groblowym.

Zegar zainstalowano na wieży ratusza prawdopodobnie na przełomie XIV i XV stulecia, jako pierwszy w Polsce. W ciągu wieków zmieniał położenie i wygląd. Podnoszono go w miarę podwyższania wieży. Obecnie znajduje się na wysokości 50 m od poziomu ul. Długiej. Modernizowano także mechanizm, wprowadzając zmiany zgodne z postęпами techniki.

Pod koniec XV wieku zegar miał już cztery tarcze ze wskazówkami godzinowymi. Od drugiej połowy XVIII stulecia miał mechanizm obciążnikowo-kolebnikowy z wahadłem. Wtedy też „bożą ręką” zastąpiono

bogato zdobionymi wskazówkami - godzinową i minutową. Operacja wymagała zwiększenia średnicy otworów osi. Powiększając je uszkodzono połączone ozdoby w postaci twarzy słońca, umieszczonych centralnie na tarczach. Musiano zamocować je później, niż same tarcze. Symbolizują układ heliocentryczny, który oficjalnie uznano dopiero w epoce renesansu. Nowe wskazówki zasłoniły oblicza słońca, które z dołu stały się prawie niewidoczne.

Na początku lat 60. zamontowano na wieży mechanizm pochodzący z początku naszego stulecia. Nie posiada on własnej podstawy czasu i dlatego steruje nim układ elektromechaniczny. Nadto każdy zespół poruszający wskazówki ma inną konstrukcję. W latach 70. mechanizm był już wypracowany i zegar stał się bardzo zawodny. Wskazówki spadały pod własnym ciężarem po minucie godzinny 12. Ponadto mechanizm jest za mały, by poruszać wskazówkami narażonymi na nacisk wiatru i zalodzenie.

Remont zegara przeprowadzono w 1989 roku, pod nadzorem dr. G. Szychlińskiego. Zmieniono podstawę czasu, zastosowano regulację kwarcową i zlikwidowano luz w mechanizmie. Natomiast tarcze poddaćno renowacji w 1994 roku. Przywrócono im dawny, intensywny kolor błękitno-zielony, a cyfry, oblicza słońca z promie-

niami i wskazówki ponownie pozłociono, nakładając płatki z 22-karatowego złota o całkowitej wadze 700 g.

Groblowy zamiast ratuszowego

W latach 1635 - 1637 mistrz Jan Konnaubke wykonał zegar groblowy, znajdujący się nad wejściem północnym Bazyliki Mariackiej. Miał on połączenie z dzwonem (wybijającym godziny) w Wielkiej Sygnaturce. Mechanizm zegara naprawiano pierwszy raz w latach 1687 - 1688. Koszty pokryli najbardziej zainteresowani - mieszkańcy ulic „groblowych”. W roku 1694 naprawił go Jan Antoni Horn, zegarmistrz ratuszowy. W XVIII wieku usterki mechanizmu usuwano trzy razy. Ostatecznie zepsuł się i stanął w 1871 roku. Był już wówczas przerobiony na zegar dwuwskazówkowy. Wojnę przetrwała tylko tarcza. W 1984 roku orestaurowano ją, pokrywając złotem cyfry cyferblatu i wskazówki. Zainstalowano też nowy mechanizm elektryczny.

- Zegar groblowy ma największą tarczę w Polsce, jej średnica wynosi 5,12 m - mówi dr G. Szychliński. - Jak wszystkie zegary wieżowe, groblowy posiadał jedną wskazówkę godzinową. Na jej osi osadzona była czarno-złota kula o średnicy pół metra, tzw. globum lune. Oś kuli miała tak dobrane przełożenie, aby z obrotami dobowymi wskazówki - zgodnymi z miesiącem synodycznym -

wskazywać fazy Księżyca. W XVII wieku globum lune był ulubionym mechanizmem gdańskich zegarmistrzów. Podobne urządzenie możemy jeszcze zobaczyć w Katedrze Oliwskiej. W bocznej nawie, nad chrystią, znajduje się mały zegar z globum lune, wykonany w 1596 roku. Jest on najstarszym, zachowanym w oryginalnym kształcie, zegarem w Gdańsku.

Zegary z wież kościelnych

Zegary znajdowały się na większości wież najstarszych gdańskich kościołów. Dzisiaj trudno odnaleźć nawet ślady po ich tarczach. Jednym z bardziej znanych był zegar i carillon (zespół grających dzwonów) na wieży kościoła św. Katarzyny. Do lat 70. na elewacjach wisiały jeszcze szczątki po prostokątnych tarczach.

- Na wieży św. Katarzyny były kolejno trzy zegary - uważa G. Szychliński. - W pierwszej połowie XVI stulecia zainstalowano pierwszy, przy okazji zmiany dachu z gotyckiego na renesansowy hełm. Potem w 1634 roku, kiedy zbudowano piękny barokowy hełm, zegar otrzymał nowe, kwadratowe tarcze. W 1905 roku, po uderzeniu pioruna, wieża i hełm oraz carillon i zegar całkowicie spłonęły. Do dziś we wnętrzu wieży widoczne są ślady pożaru. W latach 1908 - 1910 zegar i instrument odbudowano, ale tarcze zniekształcono. Strawił je znowu pożar kościoła w 1945 roku. Jednakże zegar będzie ponownie zrekonstruowany. Prawie gotowa jest już pierwsza tarcza.

Według G. Szychlińskiego, zegar na wieży kościoła św. Jana związany jest historią morską Gdańska. Został zbudowany w 1669 roku. Był restaurowany w latach 1739 i 1919. Zgodnie z hipotezą dr. inż. Jerzego Litwina, wicedyrektora Centralnego Muzeum Morskie-

go w Gdańsku, pełnił funkcję zegara portowego. Był widoczny z każdego miejsca w starym porcie gdańskim nad Motławą, a jego wygląd przypominał zegary flisackie. W czasie wojny został całkowicie zniszczony. Na murach zrujnowanej wieży pozostały tylko żelazne haki podtrzymujące tarcze. Pozwoliło to ustalić, że miały średnicę 4,8 m. Drugim zegarem portowym był zapewne mechanizm z jedną, okrągłą tarczą, umieszczony na wieży Twierdzy Wisłoujście. Widać go na obrazach i rycinach przedstawiających twierdzę pod koniec XVIII wieku. W okresie międzywojennym na wieży już go nie było.

Na przełomie wieków

Na strzelistej wieży neogotyckiego kościoła cysterskiego w Oliwie, pod wezwaniem Królowej Korony Polskiej, znajduje się jedyny w Polsce zegar z tzw. wychwytem Manharda, z pięknymi ażurowymi tarczami. Jest on szczytem techniki zegarmistrzowskiej z przełomu XIX i XX wieku, gdy chodzi o zegary wieżowe. Zegar jest nieczynny i należałoby go konieczności uruchomić.

Zegar na wieży gdańskiego Dworca Głównego PKP zainstalowano w 1905 roku. Mechanizm przetrwał wojnę i zachował się w stanie nienaruszonym. Cztery tarcze mają ażurową konstrukcję stalową, z polami wypełnionymi białym pleksi-glasem (niegdyś szkłem). Cyferblaty są podświetlane i widoczne w nocy. Od roku 1967, gdy zatrzymano archaiczne wahadło (pozostawiono je, jako relikwii historii techniki), sterowany jest impulsem z centralnej sieci czasu Północnej Okręgowej Dyrekcji Kolei Państwowych. W 1994 roku przeprowadzono renowację tarczy i ośmiu miedzianych wskazówek.

Jacek Siński



Mechanizmy starych zegarów, wykonywane ręcznie, nie były zbyt dokładne. Fot. Maciej Kosycarz



„Oświeceni wiedzą,
że aby uczynić świat
miejszem
bezbolesnym, trzeba
zmienić swe serce, nie
świat” - twierdził
Anthony de Mello.

Ewa Uszpolewicz

Zdjęcie: Jacek Balk

AIKIDO

Akademia Wychowania Fizycznego w Gdańsku. Wielka sala gimnastyczna z miejscami dla widzów. Większą część podłogi zajmuje mata. Ponad dwadzieścia rozgadanych osób - różnej płci i wieku, ubranych w białe kimona bądź dresy. Upychają ubrania w plecakach, ustawiają buty pod ławkami śmiejąc się i rozmawiając. Harmider.

Nagle wszyscy klękają na macie z dłońmi na kolanach. Trwa-

ją w bezruchu i ciszy. Do sali wchodzi, bezgłośnie niczym Indianin z powieści Karola Maya, bardzo wysoki, szczupły mężczyzna. W progu zatrzymuje się i pochyla głowę w ukłonie. W białym kimonie i czarnych, szerokich spodniach, kryjących białe stopy, zdaje się płynąć. Klęka naprzeciwko swoich uczniów. Skłania głowę dotykając czołem maty. Oni robią to samo. Rozpoczyna się trening. Grupa jest bardzo zróżnicowa-

na. Są tacy, którzy ćwiczą parę lat, parę miesięcy i tacy, którzy znaleźli się tu dopiero drugi raz. Przychodzą z różnych względów:

żeby schudnąć, być bardziej sprawnym, nauczyć się samoobrony. Kogoś namówiła koleżanka, ktoś był ciekawy, co tu

się właściwie dzieje. Motywacja chyba nie ma znaczenia. Ważne, że chcą tu być. Tak układają swoje sprawy, aby wygospodaro-

wać dwa wieczory w tygodniu dla siebie.

Aikido uczy, jak wygrać bez walki. Na macie i w życiu. Tu nie przychodzi się po gotowej odpowiedzi. Tu szuka się jej samemu. I znajduje. Tu jest tylko aikido. Pełne skupienie. Zaniechanie telefonów, faksów, sekretarek, interesów, dyskusji. Tylko nauczyciel, my, nasz partner i aikido. Tu i teraz, ale przeniesione na tam i później.

Hara

Hara jest siedzibą prawdziwego poznania. Praktyka szukania hary ma na celu przebudzenie człowieka do ciągłego rozwoju, doprowadzenia do harmonii najpierw z samym sobą, a następnie z całą naturą wszechświata. Wszechświat prze-

pełnia energia ki. Kiedy ona przez nas przepływa - żyjemy, gdy jej przepływ maleje - chorujemy, a gdy zatrzymuje się, odchodzi - umieramy. Jest wszędzie. „Nie należy ona do wiedzy, ale do odczuwania. Można próbować ją wytłumaczyć, ale lepiej ją odkryć” - wyjaśniają praktycy aikido.



dla Dziewcząt w Koronowie. Od paru lat jest w Gdańsku, stworzył Trójmiejskie Centrum Aikido. Niedawno wrócił z Kalifornii z BERKELEY AIKIAI, gdzie ćwiczył przez ponad 2 miesiące pod okiem Nauczyciela Nauczycieli (SHIHAN) - Ichiro Shibata

- jednego z największych, współcześnie żyjących, autorytetów w aikido.

*

- W aikido uwiodła mnie odmienność ruchu. Dla mnie to forma ekspresji, wyrażania siebie, swoich uczuć, emocji, oso-

bowości. To przede wszystkim źródło siły i spokoju - mówi sensei.

W każdym ruchu jest jakaś dramaturgia. Jest początek, środek i koniec. Dla mnie - tylko widza wydarzeń - wszystko wy-

Dokończenie na str. 14



Terminy aikido

ai - harmonia, zjednoczenie, miłość
ki - energia wewnętrzna i kosmosu (wszechświata)
do - droga życia (w sensie wewnętrznego doskonalenia się)
hara - centrum, miejsce, w którym skupia się energia vitalna człowieka.

*
Mariusz Siejek, licencjonowany trener aikido, nauczyciel. Sensei - jak nazywają go uczniowie, jest człowiekiem spokoju,ładu i harmonii. Wraz z jego pojawieniem się, zwykła sala gimnastyczna staje się dojo - miejscem dochodzenia do doskonałości. To wyczuwa się natychmiast. On sam trenuje dziesiąty rok. Po skończeniu studiów (resocjalizacja) pracował w Zakładzie Poprawczym i Schronisku

AIKIDO



Dokończenie ze str. 13

daje się proste, naturalne, oczywiste. Każdy ruch jest płynny. Obserwowanie tego, co się tu dzieje, dostarcza przeżyć estetycznych.

- Podstawą jest uzyskanie harmonii swojego ciała. I temu służą ćwiczenia, które uczniowie wykonują. Kolejny etap, to szukanie harmonii z partnerem. A reszta przyjdzie sama.

Dotyk, cały czas dotyk i otwarte dłonie. Ludzie lękają dotyku, bliskości drugiego człowieka i boją się jednocześnie. Tworzą zapory. A tu dotyk jest czymś na miejscu. Czymś oczywistym i naturalnym. Usuwa bariery, łagodzi opór gromadzony latami.

- W aikido nie ma wrogów, twierdzi mistrz Ueshiba, twórca tej sztuki. Aikido wymaga pokojowego nastawienia do ludzi, a nie dążenia do tego, by być silnym po to tylko, żeby pokonać przeciwnika. A jeżeli zakładać, że istnieje ktoś do pokonania, to tym kimś na pewno nie jest drugi człowiek, lecz ja sam - ze swoimi słabościami, ułomnościami, lękami. Stąd wszelkie zawody są w aikido niedopuszczalne. W każdym człowieku tkwią

ogromne pokłady dobra. Trzeba tylko nauczyć się je wyzwalać - mówi, uśmiechając się, trener.

Na pytanie: czy on sam żyje zgodnie z filozofią aikido odpowiada, ścierając otwartą dłońią kroplę potu płynącą po czole:

- Staram się...

I nic już więcej nie mówi. Uważa, że nie należy określać, definiować, ubierać w słowa tego, co można zobaczyć, dotknąć i poczuć samemu.

Niezależnie od tego, czy życie jest celem samym w sobie, czy tylko drogą do jakiegoś celu, którego nie znamy, każdy człowiek ma tu coś do załatwienia, ileś „spełnień”: kobieta - jako kobieta, matka, żona, kochanka i człowiek. Mężczyzna - jako mężczyzna, ojciec, mąż, kochanek i człowiek. Kolejność dowolna. Zaspokajamy swoje potrzeby wynikające z konstrukcji fizycznej, z instynktu, i z konstrukcji psychicznej, z ducha.

Wszystkiego mieć nie można - to rzecz, chyba, najbardziej oczywista na tym świecie. To że nie ma sprawiedliwości (mimo, że usiłuje się nas wychować na tzw. sprawiedliwych ludzi), to też fakt. To rzecz wymyślona przez ludzi dla ludzi po to chyba, żeby mogło urodzić się następne pojęcie - nadzieja. Ten wytwór ludzkiej wyobraźni, powstały z potrzeby, niezbędny do życia, dający siłę, która pozwala przetrwać nawet wtedy, kiedy smutnej rośliny, powstają z potrzeby, niezbędny do życia, dający siłę, która pozwala przetrwać nawet wtedy, kiedy smutnej

Uklon. Koniec treningu. Wychodzą z sali potem, wracają

do codziennych zajęć, do zarabiania pieniędzy, wynoszenia śmieci, egzaminów, płaczu dziecka w nocy. Ale są może bardziej cisi, spokojni, uładowani, pogodzeni ze sobą i z naturą. Może przychodząc do dojo i ćwicząc aikido podpisali w pewnym momencie, mniej lub bardziej świadomie, ze sobą, z otoczeniem - pakt o nieagresji.

Niepisana zasada ostatniego w sezonie treningu jest prawo zadawania nauczycielowi pytań. I uwierzcie mi - nikt nie pyta po co?

Pewien człowiek, który był na treningu po raz pierwszy, ze zdziwieniem stwierdził: - Hm... To spotkanie ludzi usiłujących stać się lepszymi. To niezwykle rzadkie w tych czasach. Teraz chce się mieć coraz więcej. Więcej pieniędzy, władzy, kobiet, miejsca, wody i powietrza. A tu, na kilkudziesięciu metrach kwadratowych starej, polatanej maty, ludzie chcą mieć więcej siebie.

W ten sposób zdobywa się swoje miejsce na dziś i na jutro. I nie jest ważne, czy będzie to droga aikido, czy hodowla rybek akwariowych. Nie jest to naprawdę ważne! Tylko że aikido ma w sobie nastrój i tę fascynującą mistykę Wschodu, ma swoje zasady, reguły i konwencje, coś, czego nie znajdzie się w akwarium ani w kolekcji puszek po piwie.

W aikido istnieją trzy rodzaje zwycięstw: wygrać mimo przegranej, wygrać przed walką, wygrać bez walki. Ten ostatni rodzaj zwycięstwa, to cel dla ćwiczących. Dla nas? Może warto poszukać w sobie źródła niematerii...

Ewa Uszpolewicz
Zdjęcia: Jacek Balk

Z historii aikido

Historia aikido zaczyna się w I połowie naszego stulecia i związana jest ściśle z życiem jego twórcy - Morihei Ueshiba (1883-1969). Jednakże powstanie tej sztuki walki nie było kwestią roku czy kilkunastu lat. Na jej ostateczny kształt miały wpływ liczne japońskie sztuki walki, z bronią i bez niej, udoskonalane przez stulecia. Wpływy te przenikały się nawzajem. Pierwszy raz użyto terminu aikido w 1942 roku i w ciągu następnych 10 lat jego twórca stworzył podwaliny pod późniejszą filozofię tej sztuki.

„Kiedy byłem mistrzem w kilkudziesięciu rodzajach sztuk walki, zrodziły się we mnie wątpliwości... Zwycięzać, oznacza, że któregoś dnia powinniśmy zginąć. Dzisiejszy zwycięzca będzie jutro zwyciężony. Za młodu jesteś silniejszy fizycznie, ale twojej siły ubywa z przybywaniem lat i niebawem pokona cię młodszy. Dziś jesteś w kwiecie wieku i potrafisz odczuwać radość z pokonywania innych, ale z pewnością przyjdzie czas, kiedy sam będziesz pokonany. Wygrywasz, ponieważ gubisz innych. Takie podejście jest zwycięstwem

względny. Czy istnieje coś takiego jak zwycięstwo absolutne? Nawet myśl, że zwyciężyłeś - co ci to daje?

Patrząc oczami natury, wygrać czy przegrać w świecie ludzi bezwartościowych - nie więcej znaczy, niż przytłoczyć fal na wybrzeżu. Czyż nie byłaby to strata energii, tracąc swoje życie na taką rzecz. Możesz pokonać innych, ale nie masz możliwości kontrolowania swojego umysłu. Jeżeli nie możesz pokonać swojego umysłu, pokonywanie innych nie przyniesie ci szczęścia. Twoja pycha będzie zaspokojona, ale jaką korzyść da ci to w ogóle?”

Świat dla Japończyków to integralna całość. Człowiek jest częścią natury - w sensie dosłownym. Jego podstawowe zadanie, to podążanie za nią. „Sekretem aikido jest zharmonizowanie się z ruchem wszechświata i pokierowanie nami zgodnie z jego prawami... Patrzcie uważnie na ruch natury, użyjcie jej jako podstawy zrozumienia. Kiedy patrzysz uważnie na rzeczy, wszystkie coś ci mówią... Góry, strumienie, drzewa - wszystko to twoi nauczyciele”.

Horoskop 1997

Rok

Powinien to być miły, pogodny rok, jako że włada nim planeta Venus, co oznacza że w charakterach większości ludzi dojdą do głosu przyjazne, sympatyczne uczucia. Będziemy lepiej odnosić się do siebie, okazywać sobie więcej sympatii, więzy rodzinne wzmocnią się i nabiorą blasku. Tradycyjna astrologia głosiła, że w roku Venus ludzie częściej niż w innych latach zawierają małżeństwa lub wchodzić w dobre związki emocjonalne. Dzieci teraz urodzone odznaczają się urodą i miłym usposobieniem, więcej wśród nich bywa dziewczynek.

Rok Venus sprzyja uprawie roślin ozdobnych i drzew owocowych. Również ci, którzy hodują zwierzęta - służące przyjemności lub ozdoby domu jak rasowe psy, koty, wyścigowe konie, ptaki śpiewające czy złote rybki, mogą w tym roku mieć wiele satysfakcji ze swych starań, a mioty które teraz przyjdą na świat będą piękne i zdrowe.

Zdaniem dawnych astrologów pogoda w roku Venus jest ciepła i raczej wilgotna, wiosna i lato charakteryzują dość wysokie temperatury przy dużej ilości opadów, zima jest zmienna i dość często bywa odwilż.

Tradycyjnie już w roku Venus ważne wydarzenia dzieją się w życiu ludzi urodzonych w znakach rządzonych przez tę planetę - Byku i Wadze. Jest to dobry i korzystny czas dla tych, którzy zajmują się profesjami podlegającymi „matemu szczęściu” - jak nazywano Venus: dobrze się dzieje w życiu artystów, dekoratorów, jubilerów, tych którzy zajmują się kosmetyką, fryzjerstwem, modą. W roku Venus mają szansę na powodzenia wszelkie przedsięwzięcia związane z rozrywką, a także wytworną gastronomią, kwaciarstwem, sprzedażą dzieł sztuki i antyków.

Moc talizmanów mają klejnoty Venus: turkusy, szafiry, akwamaryny, różowe i białe koraliki. Dni ważne to piątki, a cyfry, które powinny znaleźć się w istotnych datach to wszelkie kombinacje liczby „5”: 5, 15 i 25 dzień miesiąca.

ranów rozpoczną się sprawy emocjonalne, które zanim zrealizują się w legalnym związku będą przechodzić rozmaite fazy. Niemniej ta dla wielu „trudna miłość” może okazać się po jakimś czasie czymś, co właśnie było im potrzebne.

Dobre wpływy planetarne ze strony Jowisza, Urana i Plutona sprawią, że Barany urodzone jeszcze w marcu mogą wejść na drogę prawdziwych karier, w różnych zresztą dziedzinach. Wszyscy - bez względu na datę urodzenia powinni mieć powodzenie w sprawach urzędowych i materialnych. Młodzi ludzie tego znaku będą bardzo dobrze radzić sobie przy egzaminach i testach.

Najlepszy czas 1-20 kwietnia oraz 5-19 sierpnia, najtrudniejszy 5-20 stycznia i 6-22 października.



BYK
(21 kwietnia - 21 maja).

Rok zmienny, a nawet burzliwy. Byki - szczególnie urodzone jeszcze w kwietniu mogą nieomal od pierwszych dni nowego roku znaleźć się w centrum wydarzeń: rozmaitość pomysłów, różne propozycje ze strony innych ludzi, wiele szans - chociaż nie wszystkie realne. Udziałem niektórych osób z tego znaku staną się też burzliwe przeżycia osobiste. Rok kiedy możliwe są wielkie namiętności, sentymentalne przygody będące „słomianym ogniem”, kryzys - wydawałoby się w harmonijnych i ustabilizowanych związkach. Będą i tacy wśród ludzi tego znaku, którzy nagle zmienią całkowicie życiowe plany i dążenia. Możliwy odwrót od dawnych poglądów, przekreślenie czegoś co dotąd było osią życia. U nielicznych może to przybrać formę z nagłą objawionego talentu czy nowej drogi, u większości jednak takie pociągnięcia będą przez otoczenie odebrane jako dziwactwa i kaprysy. Niektórzy uwolnią się

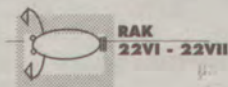
teraz mogą od przykrych zaległości i dręczących spraw. Najlepszy czas 7-20 stycznia i 23 kwietnia - 15 maja, najtrudniejszy 2 - 18 lutego, 9 - 21 sierpnia.



BLIŹNIĘTA
(22 maja - 21 czerwca).

Rok wielu dobrych szans. Nie zmarnujcie ich. Wszystko może się teraz udać. Jeżeli jest w waszym życiu coś, co pragnęlibyście zmienić, podejmijcie stosowne działania już na początku roku. Przeznaczeniem niektórych ludzi tego znaku stanie się nieoczekiwane uczucie, które narodzi się za sprawą wręcz powieściowego przypadku. Wiele Bliźniąt może teraz zmienić stan cywilny - i to w różny sposób: jedni porzucą samotność na rzecz życia we dwoje, inni - przeciwnie. Ale wszyscy będą zadowoleni.

Kto pracuje twórczo - szczególnie w dziedzinie nauki może przeżyć rok rozkwitu kariery. Wspaniałe predyspozycje mentalne, optymizm i zapał do pracy. Cieszyć się na ten rok. Dobry czas: 27 stycznia - 19 lutego, 23 września - 15 października, niepomyślny: 1 - 12 marca, 6 - 20 grudnia.



RAK
(22 czerwca - 22 lipca).

Stanowczo nie będzie to rok waszych marzeń. Lepiej dokładnie zaplanować każdy krok - tak w dużych jak i małych sprawach, aby nie być zaskoczonym przez pokrzyżowane plany i przykre niespodzianki. Raki urodzone jeszcze w czerwcu powinny uważać na zdrowie - nie lekceważyć nawet blahych

władania Wenus

dolegliwości, wiele wypoczywać. Niektórzy mogą teraz przeżyć czas zwiększonych obowiązków rodzinnych, co dla wielu nie będzie łatwe. Szukajcie towarzystwa ludzi życzliwych i miłych, starajcie się budzić w sobie optymizm i wiarę w dobre dni. Jeżeli planujecie zmiany w jakiejś dziedzinie swego życia wstrzymajcie się - jeżeli to możliwe do roku 1998. Cokolwiek bowiem macie zamiar uczynić będzie to łatwiejsze dopiero za rok. Na razie - myślcie pozytywnie i pamiętajcie, że za chmurami zawsze świeci słońce. Dobry czas: 3-19 marca, 27 października - 18 listopada, niepomyślny: 6-20 stycznia, 1-19 kwietnia.



PANNA
23VIII - 22IX

PANNA
(23 sierpnia
- 22 września).

Urodzeni jeszcze w sierpniu mogą stanąć twarzą w twarz wobec nieoczekiwanych okoliczności. Prawdopodobnie będzie się to wiązać z jakimiś zmianami rodzinnymi - nieplanowanym potomstwem bądź narodzinami nieoczekiwanego wnuka, małżeństwem - w bliskim otoczeniu, sytuacjami wobec których nie można pozostać obojętnym czy obiektywnym.

Najlepiej będą radzić sobie ludzie urodzeni pod koniec trwania znaku - po 15 września. Ci, za sprawą dobrych powiązań Słońca z Neptunem, mogą wejść w zupełnie inne układy i sytuacje życiowe - w pozytywnym tego słowa znaczeniu. Wyjątkowo dobry rok dla Panien z trzeciej dekady znaku zajmujących się zawodami mającymi coś wspólnego ze sztuką, lub studiujących tego rodzaju kierunki. Niektórzy mogą mieć szansę na bardzo atrakcyjne i wzbogacające duchowo zagraniczne wyjazdy. Koniecznie skorzystajcie, nawet gdybyście musieli zaciągnąć pożyczkę.

Najlepszy czas: 2-20 stycznia, 1-19 maja, niepomyślny: 3-20 marca, 5-20 czerwca.



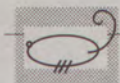
WAGA
23IX - 23X

WAGA
(23 września
- 23 października).

Rok dużych możliwości i dobrych szans, chociaż w życiu niektórych Wag - przede wszystkim urodzonych pomiędzy 28 września a 5 października mogą zaistnieć spore przeszkody wynikające na przykład z niemożności pogodzenia życia rodzinnego i zawodowego, zwiększonych obowiązków -



wobec innych ludzi i temuż podobne. Wystrzegajcie się przyjmowania nadmiaru zajęć - nawet gdyby były atrakcyjne finansowo, bowiem nie będziecie w stanie wszystkiemu podołać a otoczenie może mieć pretensje. Wagi, które w minionym roku miały kłopoty ze zdrowiem bądź trudności osobiste zauważają, że już - od lutego w ich sprawach może nastąpić zmiana na lepsze. Osoby młode, bądź samotne będą mieć szansę na spotkanie atrakcyjnego i właściwego dla nich partnera (partnerki). Podróże bliższe i dalsze mogą być korzystne i przynieść wiele satysfakcji. Najlepszy czas 29 stycznia, 18 lutego, 27 września, 17 października.

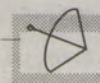


SKORPION
24X - 22XI

SKORPION
(24 października
- 22 listopada).

Rok nadmiaru - wielu ludzi z tego znaku stwierdzi ze zdumieniem, że mają zbyt wiele propozycji zawodowych, możliwości osobistych, szans towarzyskich. Uważajcie aby nie zgubić się w tym wirze. Już teraz w któreś ze świątecznych popołudni usiądźcie spokojnie i zastanówcie się co jest dla was naprawdę ważne. Dobry rok dla

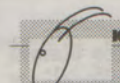
wszystkich, którzy pragną zmian w swym życiu a także dla startujących w dorosłość. Sam los podsunie wam właściwe rozwiązania. Niektóre Skorpiony mogą w tym roku poznać kogoś kto później odegra istotną rolę w ich egzystencji przez długie lata. Najlepszy czas 26 lutego - 13 marca, 26 czerwca - 20 lipca, najtrudniejszy - 3-15 lutego, 4-25 sierpnia.



STRZELEC
23XI - 21XII

STRZELEC
(23 listopada
- 21 grudnia).

Za sprawą niezmiernie silnych wpływów planetarnych, jakich jeszcze nigdy nie doświadczyliśmy w swoim życiu, Strzelcy urodzeni jeszcze w listopadzie mogą doznać istotnej i nieoczekiwanej odmiany losu. Udziałem niektórych stanie się zawodowa kariera. Dla wszystkich ludzi tego znaku rok pomyślny w sprawach zawodowych i finansowych. Kto był wpłątany w spory sądowe czy administracyjne - wyjdzie z nich zwycięsko. Załatwiajcie najtrudniejsze sprawy z tej dziedziny - można odzyskać coś co stracili wasi przodkowie. Najlepszy czas 23 marca - 10 kwietnia, 7-21 grudnia.

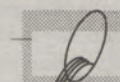


KOZIOROŻEC
22XII - 20I

KOZIOROŻEC
(22 grudnia
- 20 stycznia).

Kto w odchodzącym roku wykorzystał nadarzające się okazje i szanse - nie będzie zawiedziony. Jego sprawy potoczą się pomyślnie. Dobry czas na obejmowanie nowych stanowisk, bądź jeśli sytuacja taka zaistniała już wcześniej - aklimatyzowanie się w nowej pracy czy przy innym biurku. Koziorożce urodzone pomiędzy 2 a 9 stycznia powinny zwrócić baczność na zdrowie - zmiana miejsca pobytu i spędzenie jakiegoś czasu na łonie natury czy wczasach leczniczych może być w tym roku szczególnie pożądane.

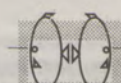
Latem - dom pełen gości, możecie również wyjechać na kilka tygodni odwiedzając rodzinę czy przyjaciół mieszkających bardzo daleko. Będzie to podróż udana. Najlepszy czas 1-21 stycznia, 6-22 maja.



WODNIK
21I - 20II

WODNIK
(21 stycznia - 20 lutego).

Cieszcie się na duże pomyślne zmiany. Bez względu na to



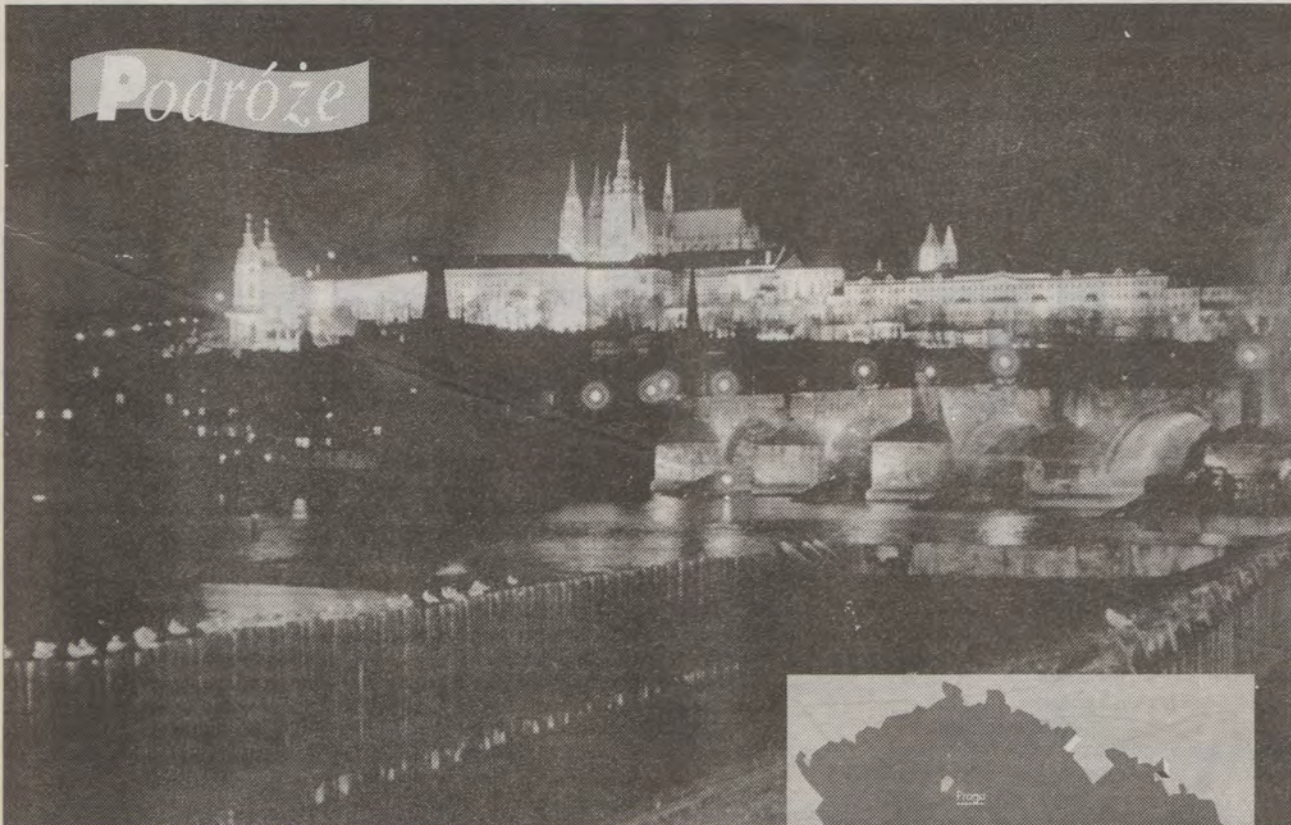
RYBY
21II - 20III

RYBY
(21 lutego - 20 marca).

Dla urodzonych jeszcze w lutym rok dużych zmian. Mogą one dotyczyć zarówno pewnych przewartościowań natury światopoglądowej czy charakterologicznej, jak i realnych wydarzeń - od nas niezależnych. Być może ktoś nowy przybędzie do rodziny - za sprawą małżeństwa czy narodzin. Trudno ukrywać, że przynajmniej z początku adaptacja do nowych warunków nie będzie dla was łatwa. Ci, którzy rozpoczynają pierwszą w życiu pracę, niech bardzo dokładnie omawiają warunki umowy i zastanowią się czy jącie to rzeczywiście im odpowiada.

Urodzeni w marcu spędzą ten rok dość spokojnie, może on być przygotowaniem do prawdziwie dobrego okresu w życiu jakim będzie rok 1998. Jeżeli macie dalekosiężne plany - bez względu na to, w jakiej dziedzinie zaczniacie je teraz realizować. Cel osiągniecie za rok - a będzie on dużą satysfakcją. Najlepszy czas 28 lutego - 17 marca, 29 czerwca - 10 lipca. Najtrudniejszy 5-20 czerwca, 6-22 września.

Podróże



Hradczany nocą, widok z nabrzeża od strony Starego Miasta



Złota Praga

Stolica Czech, położona nad Wełtawą, prawie nie tknięta przez ostatnią wojnę, jest Mekką dla artystów i miłośników starych budowli. Kilka jej dzielnic przypomina ogromne muzeum, po którym można błądzić bez końca. W latach 70. Praga po godzinie 19 zamierała, za to dzisiaj do późnej nocy tętni życiem. Czerwone transparenty wiszące niegdyś na kościołach zniknęły.

Obiekty, które turysta powinien zobaczyć można wymieniać bez końca, bowiem Praga jest miastem, w którym nie ma rzeczy brzydkich. Osobom po raz pierwszy odwiedzającym to miasto proponujemy szybką wycieczkę orientacyjną tzw. city tour, które odbywa się w soboty i środy od godz. 14 do godz. 17.30. Jest to przejazd przez miasto autokarem w towarzy-

stwie przewodnika. Koszt wycieczki od osoby wynosi 10 USD. Startuje się spod Prasnej Bramy niedaleko Namesti Republiky.

Przewodniki podają aż **dziesięć najważniejszych tras**, dzięki którym można poznać nie tylko wszystkie zabytki, ale

przede wszystkim charakter miasta.

Poza prawobrzeżnym Starym Miastem, Hradem z katedrą św. Wita i ze Złotą Uliczką, spacerem przez Most Karola, poza Małą Straną, Strahowem czy Wyszehradem - z zabytkami obowiązkowo odwiedzanymi przez turystów i oczywiście obfotografowanymi, proponujemy dotrzeć do dwóch miejsc unikalnych w skali europejskiej.

Jednym z nich jest **Miasto Żydowskie.**

W centrum starej Pragi, pomiędzy ulicami Szeroką, a Paryską znajduje się XV-wieczny cmentarz żydowski, sześć znakomicie zachowanych synagog, szkoła, ratusz i kamienice. Naj-

starszy, datowany nagrobek umieszczony na kirkucie pochodzi z 1439 r. Obok niego znajduje się około 12 tys. kamiennych tablic dekorowanych tradycyjnymi symbolami biblijnymi - rytymi motywami roślinnymi

Wieść gminna niesie, że zmarły w XVII w. rabbi do dzisiaj posiada moc uzdrawiającą. Odwiedzający cmentarz turyści wkładają do tumby grobowej karteczki z prośbami.

i zwierzęcymi. Są na nich też inskrypcje informujące, że zmarły był poetą, filozofem, astronomem... Przy jednym nagrobku zawsze znajdują się tłumy. Pochowano w nim Rabbiego Löwę. Wieść gminna niesie, że zmarły w XVII w. rabbi do dzisiaj posiada moc uzdrawiającą. Odwiedzający cmentarz turyści wkładają do tumby grobowej karteczki z prośbą o zdrowie, o szczęście, o miłość...

Nie opodał, w jednej z synagog urządzono wstrząsającą ekspozycję, gdzie zestawiono wspólnie dorobek kultury żydowskiej z tragiczną zagładą tego narodu w czasie ostatniej wojny.

Drugim miejscem, o którym czasem nawet przewodnicy zapominają jest

Kaplica Betlejemka.

Zapewne sama w sobie nie byłaby zbyt wielką atrakcją, gdyby nie fakt, że właśnie tam od 1402 r. kaznodziejem był Jan Hus, czeski reformator religijny. Pomimo że kaznodzieja i rektor czeskiego Uniwersytetu Karola w 1415 r. został spalony na stosie, jego idee jak chociażby przyjmowanie komunii pod dwiema postaciami, czy pozbywanie duchowieństwa wielkich majątków, bardzo szybko upowszechniły się w Czechach, a nawet miały spory wpływ na Polskę. Husycyzm stał się religią narodową i elementem czes-

kiej kultury. Obok XIV-wiecznej Kaplicy Betlejemskiej z surowym, husyckim wnętrzem znajduje się muzeum znakomicie prezentujące sedno czeskiej reformacji, jakże innej od tej wprowadzonej sto lat później przez Lutera.

Przy dobrej pogodzie warto wybrać się do Letohradku - letniej rezydencji królów na zboczu zamkowego wzgórza. Ta lekka, renesansowa budowla ma w sobie wiele uroku. Niemniej nie ona jest główną atrakcją, lecz ogrodowa fontanna, zwana śpiewającą, bo metalowe blaszki poruszane wodą wydzwaniają melodię.

Do Pragi nie można przyjechać na jeden dzień. Trzeba tam pobyt przynajmniej tydzień. Oprócz zwiedzania zabytków architektury

warto wybrać się do muzeów.

Interesującymi zbiorami dysponuje Muzeum Narodowe i Muzeum Historyczne. Stare samochody i lokomotywy, a także pierwsze rowery znajdują się w Muzeum Techniki. Ogromna klasztorna biblioteka na Strahowie z cennymi woluminami, mapami, globusami wzbudza zachwyt u niejednego podróżnika.

Jeden wieczór proponujemy spędzić w Teatrze Narodowym (Narodnim Divadle), a w pozostałe koniecznie należy udać się do którejś z praskich piwnic. A czego tam nie ma? Znakomite kielbaski, miejscowe wino, a przede wszystkim czeskie piwo. Bez odwiedzenia przynajmniej jednej piwniczki z *vyáepem piva* nie można powiedzieć, że się poznało czeską Pragę.

Tekst i zdjęcia
Maria Giedz

Informacje praktyczne

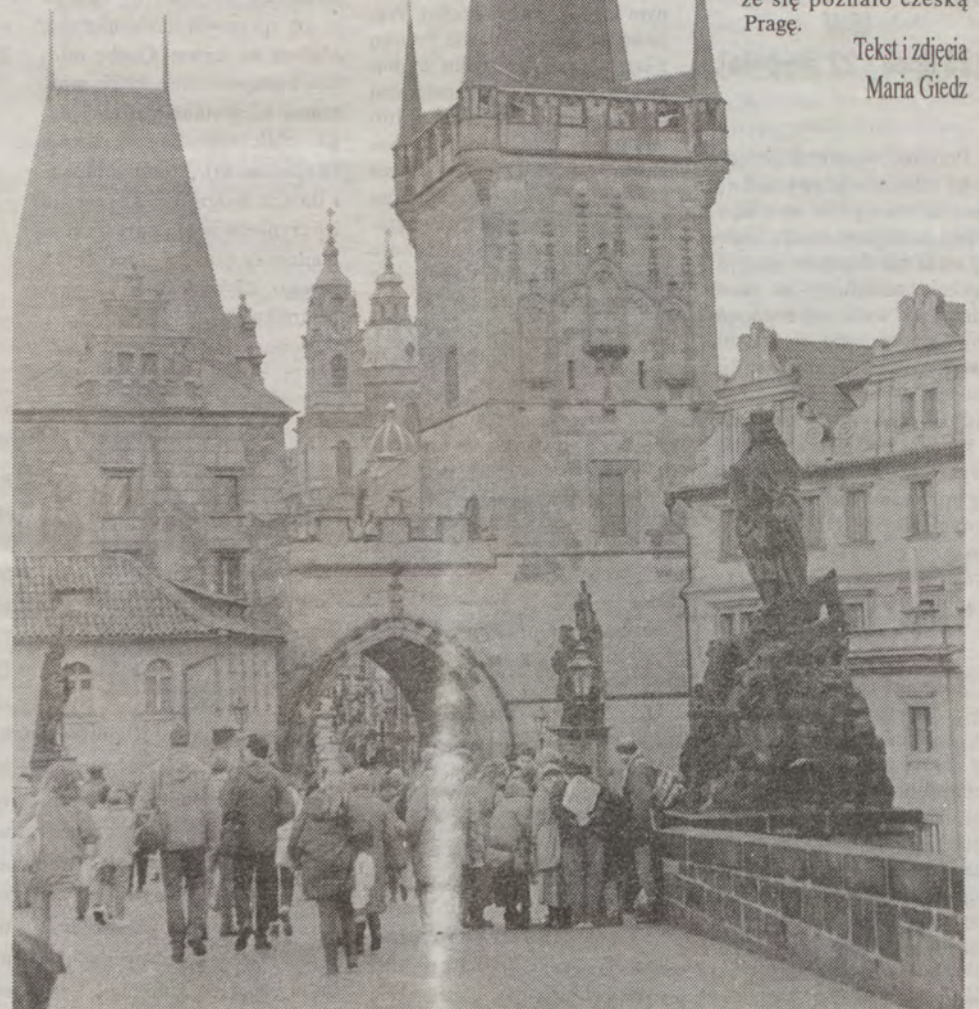
Jak dojechać? Z Warszawy kursują trzy pociągi dziennie, poranny Intercity i dwa nocne. Bilet w jedną stronę bez miejscówki czy kuszki kosztuje 125,30 zł, w obie strony 150,35 zł.

Gdzie mieszkać? Ze znalezieniem noclegu w Pradze nie ma kłopotu, bowiem istnieje wiele propozycji dostosowanych do różnych kieszeni. I tak np. w Hostelu Domov Mladeze, Dykova 20, Praha 10 zapłacimy za noc 260 korun (100 korun = 12 zł), w Hostelu Sokol, Hellichova 1, Praha 10, 180 Kč, w Hostelu Ave, Wilsonova 8, Praha 2, 100-300 Kč, a w Hostelu Slavoj-Vesico, V Náklích 1, Praha 4, 170 Kč. W jednogwiazdkowych hotelach np. w Fantasia (Pod bałkanem 518, Praha 9), Standart (Pristavni 2, Praha 7), U Krapala (Zeleznicaru 204/6, Praha 7) nocleg w pojedynczym pokoju kosztuje 22 USD. W Pradze i w okolicy znajdują się cztery kempingi: 1. Autocamp - Trojská, Trojská 375/157, tel. 854 2945; 2. Džbán, Nad lávkou 3, Praha 6, tel. 369 006-7; 3. odległy o 3 km od miasta S K Slavia Praha, Pod altánem, Praha 10, tel. 782-0459; 4.

Yachtclub Caravan Park, Cisarská louka 599, tel. 540-925.

Czym się poruszać? Metro ma trzy linie A - zieloną, B - żółtą i C - czerwoną. Kursuje od godz. 5 rano do północy. Bilet w jedną stronę lub ważny przez godzinę kosztuje 6 Kč. Ten sam bilet jest ważny również w innych środkach lokomocji, jeśli podróż razem z przesiadką trwa maksimum godzinę. Bilety kupuje się w kioskach z gazetami. Tramwaje stają obok przystanków metra. Tramwaj nr 91 - tzw. historyczny tramwaj jest atrakcją turystyczną. Kursuje po starej Pradze. Za jednogodzinną wycieczkę dorośli płać 10 Kč, dzieci 5 Kč. Taksówki są drogie. Kilometr kosztuje 12 Kč. Przed wejściem do samochodu dobrze jest ustalić z kierowcą cenę.

Poczta, telefon. Listy wrzucamy do pomarańczowych skrzynek. Poczta czynna przez całą dobę znajduje się przy ul. Jindřiská 14 (obok Václavské náměstí). Telefoniczne połączenia międzynarodowe na pocztę można uzyskać w godz. 7 - 23. Warto jednak zaopatrzyć się w karty telefoniczne, kupuje się je w kioskach z gazetami i papierosami.



Wieże mostowe na Malej Stranie

Szlakiem szopek



Spacer szlakiem szopek należy zacząć od najstarszej i największej świątyni Elbląga - katedry pod wezwaniem św. Mikołaja.

Fot. Piotr Kajmer

Proponujemy Czytelnikom spacer szlakiem szopek. W każdej świątyni są one aranżowane ze szczególnym pietyzmem. W Elblągu nie ma wprawdzie zwyczaju tworzenia „szopki politycznej”, jak dzieje się to często np. w kościele św. Brygidy w Gdańsku. Ale bożonarodzeniowa tematyka przedstawiana jest na wiele sposobów. A każdy z nich - wart jest podziwiania.

Warto wiedzieć, że wcześniejsze nazwy szopki to jasełka, żłobek, oznaczające lalkowe misterium na Boże Narodzenie. Było to przedstawienie zdarzeń, związanych z ewangeliczną i ludową tradycją, odgrywanych w okresie świąt i Nowego Roku. W Elblągu z jasełek słynie dziś m.in. katedra św. Mikołaja.

Warto od niej rozpocząć wędrówkę, jest to bowiem największa świątynia nie tylko diecezji elbląskiej, ale i dawnej diecezji warmińskiej, do której Elbląg przez lata należał. Była kościołem parafialnym katolików prawie od początku istnienia miasta. Pierwsza wzmianka o tutejszym proboszczu pochodzi sprzed 750 lat!

Dzisiejszy proboszcz świątyni - ksiądz infułat Mieczysław Józefczyk, dużą wagę przywiązuje do wystroju szopki, zlecając jej aranżację nie tylko służbom kościelnym, ale i plastycznym uzdolnionym parafianom.

Trzeba też wstąpić do nowej świątyni, wciąż jeszcze budowanej - kościoła pod wezwa-

niem Najświętszej Marii Panny Królowej Polski. Podobnie, jak wieża św. Mikołaja - tak wieżyczki nowego kościoła, o współczesnej architekturze, wznoszą się ponad domostwa elblążan. I tu także natkniemy się na niezwykłą szopkę, której eksponaty wzbogacane są z roku na rok, przez proboszcza parafii - ojca redemptorystę Ignacego Proszka.

Kapłan, oczarowany szopką, istniejącą w kościele na południu Polski, w Bardzie Śląskim, pragnie podobną zainstalować w prowadzonej przez siebie parafii. Zamawia więc poszczególne elementy, na wzór znanej, odwiedzanej przez licznych turystów, czynnej cały rok (!) szopki śląskiej. Tak jak w tamtej, w której wiele elementów jest ruchomych, a nad paradującymi do żłobka pastuszkami i królami... latają samoloty, także w Elblągu występują pewne elementy ruchome. Najmniejsi elblążanie wpatrują się więc długo, oczarowani, jak papież Polak, wyrzeźbiony z dużą wiernością, wychyla się przez

okno w Watykanie i błogosławi „urbi et orbi”.

Wędrówkę szlakiem szopek elbląskich można przedłużyć, bowiem Elbląg jest miastem wielu kościołów. Warto pamiętać, iż niegdyś bardzo żywy był zwyczaj chodzenia z szopką. Tekst owej szopki, czyli widowiska, początkowo oparty na dialogach misteryjnych, stopniowo zmieniał się. Rozbudowano sytuację farsową, wprowadzono obok postaci typowych jak Śmierć, Diabeł, Baba, Żołnierz - również postaci przypadkowe, pieśni regionalne, aktualne kuplety. To spowodowało deformację pierwotnej formy, zeświecczenie jej, tak że w 1738 roku zakazano tego typu widowisk w kościołach. W XVIII wieku pojawiły się w szopce akcenty polityczne, patriotyczne, satyryczne.

Współcześnie oglądamy więc szopki statyczne w świątyniach, ale i Szopkę Noworoczną w telewizji, a czasami - jak w zeszłym roku - mamy okazję zobaczyć Elbląską Szopkę, w Teatrze w Dramatycznym w Elblągu.

Krystana Sandecka

Beata Puka

Rusz się!

Marsz po odznakę



Koniecznie trzeba też wybrać się do zoo.

Fot. Maciej Kostan

Wyjątkowo długi tegoroczny okres świąteczny nie jest najlepszą porą na wycieczki i wędrówki w okolicę Trójmiasta. Bo to i środki lokomocji jeżdżą jakoś inaczej, a to wypada wpaść z wizytą do rodziny (na makowiec), a to znów nakarmić gości karpiem (został bo „ekologiczny”). A poza tym nie należy oddalać się zbyt daleko od świątecznego stołu.

Proponuję zatem - mając na uwadze przyszłoroczne milenium - serię wędrówek po Gdańsku. Najlepiej całą rodziną a przy okazji zachęcam do zdobycia odznaki turystycznej pod nazwą „Miłośnik Gdańska”. Odnaka ta została ustanowiona przez Oddział Gdański PTTK i służy popularyzacji walorów krajoznawczych naszego miasta. Odnakę może zdobywać każdy, kto ukończył 10 lat. Posiada ona dwa stopnie: niebieski i złoty. Zdobywanie rozpoczynamy od stopnia niebieskiego. Aby posiadać tę odznakę, musimy w ciągu roku spełnić następujące warunki:

- zwiedzić 10 dowolnych zabytków architektury w tym obowiązkowo: Ratusz Starego Miasta, Bramę Wyżynną i Kościół Mariacki

- zwiedzić park oliwski, oliwską Kuźnię Wodną, klasztor oo. franciszkanów, Muzeum Narodowe oraz Muzeum Historii Miasta Gdańska

- odbyć wycieczkę pieszą lub rowerową na trasie: Jelitkowo-Brzeźno (park) - Nowy Port (po przeprawie promem na drugą

stronę Wisły), Twierdza Wisłoujście - Westerplatte.

Zanim jednak wyruszymy na miasto i zaczniemy zdobywanie norm do odznaki musimy wyposażyć się w książeczkę wycieczek pieszych lub inny dowolny zeszyt. W nim będziemy rejestrować i potwierdzać zwiedzone zabytki, muzea i wycieczki. Możemy również umieścić fotografię (najlepiej własnego autorstwa) i krótki opis tego co oglądaliśmy. Potwierdzeniem może być podpis kierownika wycieczki, przewodnika lub przewodnika turystyki kwalifikowanej. W przypadku wędrówki indywidualnej - pieczęć zwiedzającego obiektu (muzeum, kościół itp.). Wiele obiektów zabytkowych Gdańska posiada bardzo ładne ozdobne pieczętki, które będą zapewne miłą pamiątką z naszych wypraw (np. Brama Wyżynna, Dom Schumanów, Ratusz Głównomiejski, Dwór Artusa i wiele innych).

Gdy wszystkie wymienione warunki zostaną spełnione, to zanosimy nasz zeszyt do siedziby oddziału gdańskiego PTTK (ul.

Długa 45), gdzie zostanie odznaka zweryfikowana. Na podstawie wpisu i odpowiedniej okolicznościowej pieczęci będziemy uprawnieni do wykupienia odznaki.

Posiadacze odznaki niebieskiej mogą pokusić się o zdobycie jej wyższego stopnia - złotego.

Aby zdobyć złotą, należy posiadać niebieską i spełnić n.w. warunki:

- zwiedzić kolejne 15 zabytków architektury w tym 5 obowiązkowo, tj. Dom Opatów Pelplińskich, Wielki Młyn, Baszta Jacek, Poczta Polska i Wielka Zbrojownia

- zwiedzić muzea: Żuraw Gdański, Centralne Muzeum Morskie, Muzeum Archeologiczne, Muzeum Archidiecezjalne w Oliwie

- zwiedzić oliwskie zoo

- uczestniczyć w jednym spektaklu teatralnym

- odbyć rejs statkiem ŻG Zielona Brama - Westerplatte

- odbyć wycieczkę żółtym szlakiem na trasie Gdańsk Dw. PKS - Jaśkowa Dolina - Matemblewo - Złota Karczma

- odwiedzić pomnik Poległych Stoczniovców

- wziąć udział w dowolnej imprezie organizowanej przez Oddział Gdański PTTK.

Stanisław Strojny

- W sobotę na narciarski spacer (jeśli śnieżna pokrywa będzie miała co najmniej grubość 10 cm) na trasie: Redłowo-Krykulec-Dąbrowa-Kolonia-Chwaszczyno zaprasza Komisja Turystyki Narciarskiej przy Oddziale Morskim PTTK w Gdyni. Zbiórka o g. 10 na peronie SKM Gdynia Redłowo.

- W niedzielę KK „Wrzos” zaprasza na wycieczkę trasą: Radiostacja Chwaszczyno-góra Donas-Wieclino-Chwarzno-Dworzec PKP Gdynia Główna. Zbiórka o g. 11 w Oddziale Morskim PTTK w Gdyni przy ul. 3 Maja 27. Wyjazd autobusem linii „Z” w kierunku Zukowa o godz. 11.25.

- W niedzielę na wycieczkę zaprasza KT „Wańoga”. Szczegółowe informacje pod nr. tel. 21-77-51.

* * *

Jak popularne są narciarskie wędrówki i biegi świadczą o tym masowe narciarskie imprezy biegowe, na starcie których stają tysiące narciarzy. Jedną

z najstarszych i największych takich imprez w Polsce jest Bieg Piastów na Polanie Jakuszyckiej w Szklarskiej Porębie-Jakuszykach. Odbędzie się on 11 stycznia 1997 r. już po raz 21. Od dwóch lat impreza ta jest wpisana w program Europejskiej Ligi Biegów Długich - EUROLOPPET, zrzeszającej 9 biegów

m.in. znany Bieg Wazów w Szwecji. Zawody odbywają się na długich dystansach - 25 km i 50 km, a uczestniczyć w nich może każdy kto ukończył 18 lat (młodszy również, ale tylko za zgodą rodziców i lekarza). Uczestnictwo w tym biegu jest niewątpliwie dużym przeżyciem. Spotkać na nim można biegaczy

z wielu krajów świata. Na Polanie Jakuszyckiej śnieg leży przez sześć miesięcy w roku, od listopada do maja. Jest tam 70 km tras, w tym 20 km tras łatwych, przeznaczonych dla narciarzy początkujących, 40 km tras o średnim standardzie i 10 km tras o najwyższych parametrach europejskich. Kto chciałby wybrać się na bieg powinien skontaktować się ze Stowarzyszeniem Biegu Piastów i Medyków, 58-580 Szklarska Poręba, ul. Jedności Narodowej 13, tel. /0-75/ 17-33-38. Informacje uzyskać też można pod nr. tel. /0-75/ 17-24-49, 17-24-94. Opłata startowa w biegu wynosi 50 zł.

(mir)

Wędruj razem z nami

Rumunia - 10 lat później

Demokracja odptłaci

Tak było

Doina Cornea mówi:

- mam prawie 70 lat, sporo przeżyłam. Świadcowałam różnym okresom rumuńskiej historii. W 1989 roku, 21 grudnia, w Cluj wybuchła rewolucja. 22 grudnia roku następnego miała już miejsce kontrrewolucja. To były dwa paralelne wydarzenia, bardzo spontaniczne. Widziałam, że ludzie byli gotowi i wystarczyła przysłowiowa iskra do pełnej mobilizacji. Mielismy przykład innych krajów dawnego bloku i był to rodzaj moralnego nacisku. Umieraliśmy ze wstydu, że tutaj nic się nie wydarzyło. Wiedzieliśmy, iż strzelano do ludzi w Timisoarze.

Jednak 21 grudnia mieszkańcy Cluj, przede wszystkim młodzież, wyszli na ulice. Nie było ich tak wielu jak w Timisoarze czy w Bukareszcie. O 15.30 padły strzały na placu Wolności. Było 7 zabitych i wielu rannych. Skąd pochodziły kule? Mimo stwarzanych pozorów ludzie wiedzieli, że nie padły one z wojskowych luf. Securitate zawsze przecież miała zwyczaj obmywać sobie ręce czyimiś kosztami. Ale Securitate miała władzę nad wszystkimi instytucjami, w tym również nad armią.

Doina Cornea pozuje z synem do fotografii:

- mój syn był w Astorii, tam również strzelano. Wróciwszy obsunął się na krzesło i tylko wyszeptał: „co za rzeź”. Około 17.30 przed naszym domem stanęła kolumna manifestantów i zaczęła głośno skandować: „Precz z komunizmem! Precz z Ceausescu! Doina Cornea! Doina Cornea!”. Postanowiłam się do nich przyłączyć. Pamiętam mój strach, wiedziałam przecież dobrze, co stało się 2 godziny wcześniej. Aż do późnego wieczora słyszeć było strzały w różnych miejscach miasta. Ot, by zabić parę osób i napędzić innym stracha. Strzelano również do nas, ale kule przelatwały nad naszymi głowami. Może specjalnie strzelano w powietrze, w każdym razie wśród maszerujących ze mną ludzi nie było ofiar. Manifestanci odprowadzili mnie później do domu. Trzech spośród nich, dotąd nie wiem dlaczego, wyszło razem ze mną do środka. Kiedy opuścili mój dom o północy, zostali zatrzymani przez Securitate i w nieludzki sposób pobici.

Doina Cornea poprawia się w fotelu:

- po rewolucji, tak jak tego ode mnie oczekiwano, chciałam wyjechać do Bukaresztu. Przeszkodzono mi w tym, choć oczywiście nie mam na to powodów. 22 grudnia armia miała mi zapewnić transport na lotnisko. Powiedziano jednak: „Jest mgła. Samolot nie może wystar-

tować”. Rzeczywiście było mgliście. Później dowiedziałam się, że samolot wystartował z bratem Ceausescu na pokładzie.

Musiałaby więc lecieć razem z nim. Wojskowi odstawili ją do miasta Orade położonego 250 km od Cluj. Zamieszkała na terenie garnizonu. Tam usłyszałam przez radio o prośbie Iliescu skierowanej do Sowietów. Generał garnizonu był zbulwersowany. Mówił: „Co my tutaj robimy? Dlaczego nie ma rozkazu udania się do Bukaresztu, by walczyć z terroryzmem? Po to przecież uzbroiło się naród, by móc zapanować nad społecznym nieładem”. Cała armia rumuńska była unieruchomiona.

Ostatecznie do Bukaresztu przyjechałam 26 grudnia. Jeszcze przed pojawieniem się w stolicy usłyszałam, że jestem zapisana jako pierwsza na liście powstającego właśnie Frontu Ocalenia Narodowego. Wciągnięto mnie tam bez zasięgnięcia mojej opinii. Mówię szczerze, najprawdopodobniej sama bym do niego przystąpiła. Jednakże taka metoda rekrutowania członków obudziła we mnie pewną nieufność.

Iliescu wygrał wybory prezydenckie w maju 1990 roku, gdyż uciekł się do rzucania oszczerstw, szerzenia dezinformacji, wykorzystał zmęczenie narodu pragnącego spokoju. Opozycja była rozbita. Iliescu wywołał zamieszki w ostatnim momencie kampanii prezydenckiej („la minierade” - manifestacja górników w Bukareszcie), chcąc sterroryzować społeczeństwo i wymierzyć ostateczny cios podziemi.

13 maja wieczorem wygłosił w telewizji apel do narodu. Następnego dnia górnicy przybyli do Bukaresztu i wywołali rozruchy na ulicach miasta. Zginęło wówczas 45 mieszkańców, których ciała nie zostały zidentyfikowane.

Doina Cornea głaszcze kota:

- po tym wszystkim zostałam wezwana przez panią C. Lălu-miere z Rady Europy do przedstawienia wydarzeń w Rumunii. Zażądałam wówczas od rządu spełnienia trzech warunków, podstawowych dla każdej demokracji: uwolnienia tysięcy zatrzymanych po „górnicych” zamieszkach, wolności dla prasy i podziału władzy. Napisałam listy do liderów partii opozycyjnych, by zjednoczyć ich siły i móc kontynuować walkę. Nie otrzymałam żadnej odpowiedzi, pojechałam do Bukaresztu, by się z nimi wszystkimi spotkać. Pan Coposu, najważniejsza figura ówczesnej opozycji, członek Partii Chrześcijańsko-Demokratycznej, zaakceptował również lidera Partii Mniejszości Węgierskiej (UDMR).

Przez wiele lat Doina Cornea należała do czołowych postaci rumuńskiej opozycji. Mimo licznych aresztowań i pobyków w więzieniu, z reżimem walczyła nieprzerwanie. Jest wciąż taka sama, wciąż potrafi odważnie reagować na polityczną obłudę. Przy tym jest ujmująco prosta. Dzięki takim osobom w zniewolonych społeczeństwach przychodzi czas na demokrację.



Doina Cornea pozuje z synem do fotografii

Dzięki mnie Coposu został przedstawiony przewodniczącym wszystkich innych partii. Wróciwszy do Cluj, wraz z tamtejszymi opozycjonistami, postanowiłam przeprowadzić unifikację rumuńskiego podziemia. Zaprosiliśmy do Cluj liderów różnych partii na pierwsze Forum Antytotitarne. Zamieściliśmy w prasie apel do innych departamentów, by dołączyli u siebie podobnego zjednoczenia i przyłączyły się do nas.

Na wezwanie odpowiedzieli 34 departamenty. 7 sierpnia w Cluj miało miejsce zebranie ich przedstawicieli. Ułożono wspólnie statut i opracowano zasady współistnienia. Tylko Bukareszt stał osobno. Zjednoczenie opozycji na poziomie centralnym dokonało się dopiero po długich negocjacjach. To było ziarno przyszłych demokratycznych umów.

Doina Cornea komentuje wybory:

- zmiany w rządzie i na fotelu prezydenckim są ratunkiem dla Rumunii. Pan Constantinescu walczył jak lew. A to było takie trudne stawiać czoła

oszczerstwom byłego prezydenta. Jestem przekonana, że dopuszczono się niejednego oszustwa. Nie miały one może charakteru masowego, ale z pewnością Iliescu uciekł się do nich tam, gdzie, jak przypuszczał, ludzie byli nie doinformowani lub po prostu wydawali się być jego zwolennikami. W wyborach prezydenckich głosowały marne dusze. Iliescu pisał do zmarłych. Listę wyborców otrzymał, jestem o tym przekonana. Wysłał listy do wszystkich chłopów rumuńskich, w tym również do tych już zmarłych. Pisał do nich: „Głosujcie na mnie, a wtedy doczekacie się równowagi, stabilizacji”... Listy adresowane do zmarłych opublikowała prasa.

Wybór Constantinescu na prezydenta nadał sens pamiętnym dniom grudnia 1989 roku. Widać to było na ulicach, w rozpromienionych twarzach młodych ludzi. To przypominało rewolucję 89 roku. Doina pamięta to uczucie z czasów przewrotu. Bóg ponownie zstąpił na Ziemię. Było coś specjalnego w atmosferze, jakaś łagodność w powietrzu, nadzieja, która ro-

dziła się właściwie bez konkretnych powodów. Dzisiaj jest podobnie. Była pewna, że wygrała. Czuli, że dzieje się coś bardzo ważnego dla Prawdy i tych, którzy dla niej walczą. Trzeba tylko uważać, by nie przepędzić Boga, obecnego teraz wśród ludzi, nie zniszczyć tej harmonii, nie zaprzepaścić szansy. Mówi - Bóg i myśli - Dobro, Prawda, Sprawiedliwość. Bogiem są Miłość, Uczciwość, Solidarność. Nie wolno tego zdradzić.

Doina Cornea uśmiecha się promiennie:

- czekałam na ten moment pięćdziesiąt lat. Teraz jestem pewna, że nadszedł, gdyż wydarzenia na scenie politycznej, którym świadkuję, przebiegają w sposób demokratyczny. To zasługa wyborców rumuńskich, ich samoświadomości i odpowiedzialności. Każdy z nich wiedział, czego oczekuje od państwa. Więc ta zasługa narodu rumuńskiego będzie mu odpłacona.

Tekst i zdjęcie: Denis Chouquet

Tłumaczenie Magda Mieczkowska

Grudzień 1989 roku: rządy w Polsce objął Tadeusz Mazowiecki, w Czechosłowacji - Václav Havel, w Berlinie runął mur - największa bezkrwawa rewolucja świata. W Rumunii stało się inaczej.

17 grudnia: w Timisoarze odbyła się demonstracja. Na ulice wyszły tysiące ludzi w obronie prześladowanego pastora Lászlo Toekesa. Ta manifestacja stała się punktem zapalnym rumuńskiej rewolucji. Pociągnęła za sobą następne, solidarnościowe wystąpienia w Bukareszcie i innych miastach. Nicolae Ceausescu, człowiek, który jeszcze w we wrześniu 1989 roku wzywał władze ZSRR i NRD do podjęcia stanowczych kroków z interwencją wojskową włącznie, dla zapobieżenia „kontrrewolucji” w Polsce, nie przerwał wizyty w Iraku. Sytuacja stawała się jednak coraz bardziej napięta.

21 grudnia: Ceausescu wrócił i natychmiast kazał zwołać wiec poparcia dla swojej osoby. Zamiast owacji usłyszał gwizdy i okrzyki: „Precz z Ceausescu!” Rozwścieczony dyktator wydał rozkaz: „strzelać!” Minister obrony, generał Vasile Milea odmówił wykonania rozkazu i popełnił samobójstwo (lub został zastrzelony). Również armia odmówiła otwarcie ognia. Rozkazy Ceausescu wypełniały gorliwie militarne służby wewnętrzne - Securitate.

22 grudnia: tłumy ruszyły do szturm na siedzibę Komitetu Centralnego. Dyktatorowi i jego żonie Elenie udało się zbiec na pokładzie helikoptera. Oddziały Securitate rozpoczęły wojnę z rumuńską armią, nie oszczędzając cywilów. Ukonstytuował się Front Ocalenia Narodowego, pełniący funkcję tymczasowego rządu. Dyktatura upadła.

25 grudnia: Conducator i jego żona - notabene I wice-premier i członkini ścisłego kierownictwa Rumuńskiej Partii Robotniczej - zostali pojmami i postawieni przed trybunałem wojskowym. Po kilkugodzinnym pospieszonym i niejasnym procesie Nicolae i Elena Ceausescu zostali rozstrzelani.

Alina Geniesz

Auto

Jeden z najnowocześniejszych i najbardziej zaawansowanych technicznie samochodów elektrycznych - Honda EV. Źródłem prądu są 24 akumulatory niklowo-metalowe (Ni-MH), które zasilają silnik o mocy 49 kW, napędzający koła przednie. Maksymalna prędkość - ponad 130 km/godz., zasięg 210-350 km. W środku - cztery wygodne miejsca pasażerskie, klimatyzacja, ABS itp.
Fot. Honda



Samochody elektryczne przedstawiane są dziś często jako nowość, która skieruje motoryzację na nowe tory. Często zapominamy, że pierwsze pojazdy elektryczne powstały już w roku 1880, gdy niemal jednocześnie wehikułami takimi zajęli się trzej Francuzi: Charles Jeanteaud, Camille Faure i Gustave Trouve. Stosunkowo najwięcej wiadomo o konstrukcji Trouve, który „zelektryfikował” wyprodukowaną w Anglii trzykółkę Coventry-Rotary.

Także pojazd, który pierwszy przekroczył barierę stu kilometrów na godzinę napędzany był nie silnikiem spalinowym, jakby można było przypuszczać, ale właśnie elektrycznością. Błazniane cygaro, noszące filuterną nazwę „Jamais Contente” (Nigdy nie zadowolona) z rudobrodym Belgiem Ca-

Auto na baterię

mille Jenatzy za sterem osiągnęło 1 maja 1899 roku prędkość 105 km/godz. ze startu lotnego i 75 km/godz. na 1 kilometr ze startu zatrzymanego.

Samochody elektryczne w początkach naszego stulecia skutecznie konkurowały z autami o napędzie spalinowym, choć ich zasięg był z reguły bardzo niewielki, a użyteczność, ze względu na masę akumulatorów - znikoma. Mimo to np. znaczna część nowojorskich taksówek napędzana była elektrycznością!

Rekordowy w historii motoryzacji elektrycznej był rok 1912, gdy ustanowiono do dziś nie pobite rekordy sprzedaży tego typu pojazdów.

Coraz doskonalsze konstrukcje samochodów z silnikami spalinowymi w połączeniu z niskimi cenami benzyny na długie lata wyeliminowały elektryczność z kręgu zainteresowań przemysłu motoryzacyjnego. Przypominało sobie o tego typu napędzie w czasach, gdy

z paliwami było kruczo

W 1941 roku np., Peugeot wyprodukował w okupowanej Francji pojazd zwany 400 VLV (Voiture Legere de Ville - lekki samochód miejski), którego zasięg wynosił 80 km, a maksymalna prędkość - 32 km/godz. W ówczesnych warunkach była to propozycja nie do pogardzenia: Citroen np. oferował w tym czasie przeróbkę swojego modelu B-11 z napędem gazowo-generatorowym, z przyłączeniem z tyłu kotłem opalanym... drewnem.

Wszystko wskazuje na to, że wkraczamy w nową epokę motoryzacji elektrycznej. Już jednak bez złudzeń, że tego typu pojazdy mogą kiedykolwiek zdominować cały ruch drogowy. Co przemawia zatem za samochodem elektrycznym? Na przykład coraz bardziej dziś doceniane

argumenty ekologiczne

Samochód elektryczny jako jedyny spełnia normy „Zero emissions”, nie wysyłając do atmosfery ani toksycznych związków chemicznych, ani nie-

miłych woni. W Kalifornii lokalne prawo zmusza producentów do uwzględnienia 2-procentowego udziału samochodów elektrycznych w ofercie na rok 1988. W roku 2005 co dziesiąty samochód sprzedawany w tym stanie będzie musiał mieć silnik elektryczny. Wysuwane niegdyś kontrargumenty, że elektryfikacja samochodu oznaczać będzie po prostu przesunięcie miejsca powstawania skażeń z rury wydechowej auta do komina elektrowni, straciły na aktualności: także producentów energii elektrycznej zmusić można do „czystej” produkcji.

Dzisiejsze samochody elektryczne odznaczają się

dynamiką

porównywalną z autami z silnikiem spalinowym. Co więcej, są gotowe do jazdy natychmiast, bez żadnego rozgrzewania. Ich całkowicie odmienna zasada działania sprawia, że zakres obrotów użytecznych, czyli odpowiednio duży moment obrotowy i wysoka moc zaczyna się od zera. To z kolei ozna-

cza, że w aucie elektrycznym zbędne są kosztowne i komplikujące konstrukcję przekładnie.

Zmora konstruktorów samochodów elektrycznych było do niedawna odpowiednie zaplanowanie systemu wymiany akumulatorów. Myślano o dużych stacjach, zbliżonych do stacji benzynowych, gdzie wymieniano by wyczerpane baterie na nowe. Tymczasem dzisiejsze akumulatory, i to nawet te o tradycyjnej konstrukcji, dają się ładować niewyobraźalnie szybko: te, stosowane np. w produkowanych na skalę masową elektrycznych Citroënach, Peugeotach i Renaultach już po godzinie naładowane są w 80 procentach, a w pełni - po sześciu godzinach.

No i wreszcie te, które najlepiej trafiają do przekonania:

argumenty finansowe.

W warunkach amerykańskich przebiecie autem elektrycznym kosztuje 2,80 dolara. Autem z silnikiem wysokoprężnym podróżujemy równo dwa razy drożej: 5,60 dolara. A za 100 kilometrów samochodem z silnikiem benzynowym zapłacimy aż 8,40 dolara. We Francji całkowite naładowanie akumulatorów auta elektrycznego (zasięg obecnie produkowanych przekracza 100 km, prędkość użyteczna to 70-80 km/godz.) kosztuje ledwie 10 franków.

Jak się jeździ „na prąd”?

Przed rokiem, na wystawie „Equipe Auto” w Paryżu miałem okazję przejechać kilka kilometrów Citroënem AX Electrique po torze prób. Na zewnątrz samochód nie różnił się niczym od zwykłego, benzynowego brata. Jedyne szczegól - to klapka na prawym przednim błotniku, kryjąca gniazdo układu zasilania. Końcówki dopasowane do tego gniazda mają być rozmieszczone na parkingach, w garażach, na stacjach benzynowych itp.

W kabinie rzucał się w oczy brak dźwigni zmiany biegów i oczywiście pedału sprzęgła. Na tablicy przyrządów obok szybkościomierza umieszczono wyskalowany w procentach wskaźnik stopnia naładowania akumulatorów. Wybór kierunku jazdy - do przodu lub do tyłu - dokonywał się za pomocą dwóch klawiszowych przycisków.

Jazda nie dostarczyła żadnych szczególnych przeżyć. Ot, po prostu

wsiało się za kierownicę i po naciśnięciu pedału „gazu” auto bezszelestnie i żwawo rusza do przodu. Płynnie przyspiesza, chętnie, dzięki elektrycznemu układowi wspomagania kierownicy, wchodzi w zakręty. Wnętrze ogrzewane jest oczywiście elektrycznie.

Jak każdy samochodziarz odczułem natychmiast tęsknotę za odgłosem pracy silnika, za lewarkiem biegów i sprzęgłem, słowem za tym wszystkim, co daje radość z prowadzenia auta. W pojeździe elektrycznym brak jest duszy!

Marek Ponikowski

W poprzednim tygodniu wypadała z tekstu testowego Seat Cordoba końcówka. Przepraszamy Autora i Czytelników. Oto brakujący fragment:

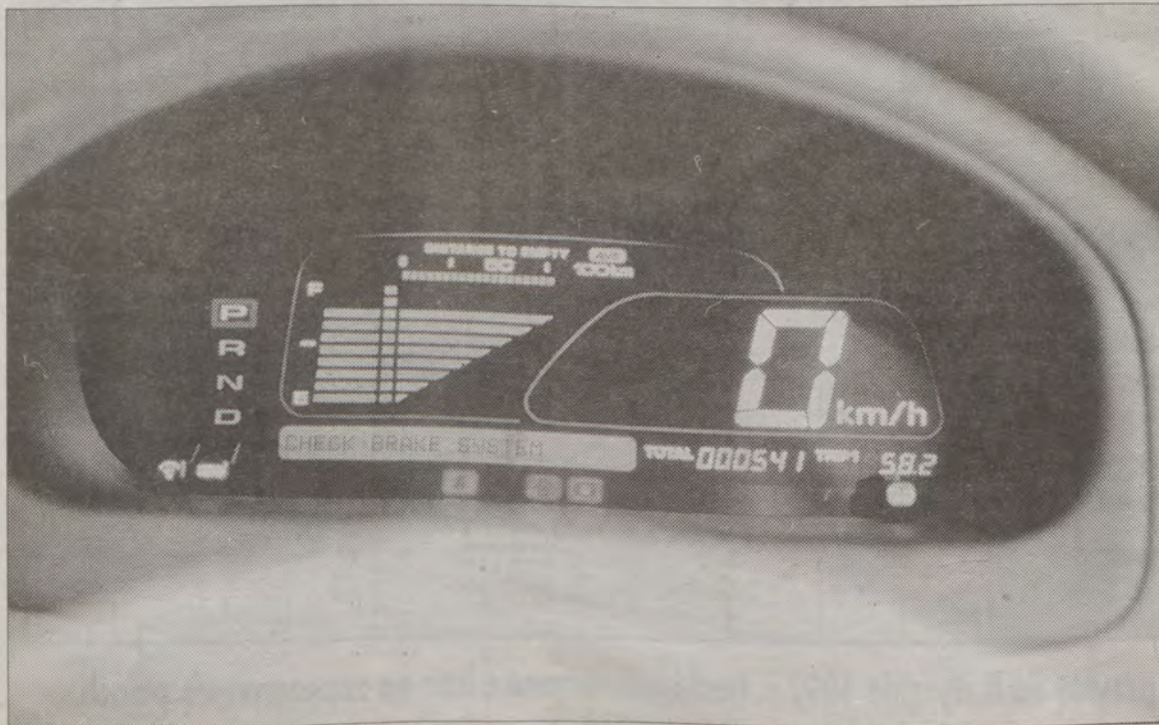
O wszystkich mankamentach szybko zapominały

za kierownicą Cordoby SX.

Kto lubi szybką jazdę czuje się w tym aucie doskonale. Szytwe zawieszenie pozwala na szybkie i pewne pokonywanie zakrętów, hamulce działają precyzyjnie i skutecznie, kierownica z właściwie dobraną charakterystyką układu wspomagającego pasuje do sportowego image auta. Jakość montażu nie budzi zastrzeżeń. Wnętrze jest dobrze odizolowane od hałasów silnika, podwozia i opływu powietrza. Dynamika stukotnego auta w połączeniu z dobrym zestawieniem skrzyni biegów zachęca do wyprzedzania. Przyjemność kończy się niestety, gdy przyjdzie podróżować wieczorem, po wilgotnej nawierzchni. Mocno nagrzewające się szkła dobrych skądinąd reflektorów pokrywają się w okamgnieniu czarną, nieprzejrzystą skorupą błota. Auto praktycznie ślepie. Mamy do wyboru - radykalnie ograniczyć prędkość, co kilkadziesiąt kilometrów przecierać światła albo... zamówić auto ze zmywaczami reflektorów.

Z silnikiem o poj. 1595 cm sześć. Cordoba SX osiąga prędkość maksymalną 186 km/godz. i przyspiesza 0-100 km/godz. w 10,8 sekundy. Normatywne zużycie paliwa wynosi 5,9 l przy 90 km/godz., 7,6 przy 120 km/godz. i 9,4 l w cyklu miejskim. Nasz pomiar z dynamicznej jazdy szosowej wyniósł 7,4 l, zaś z jazdy miejskiej - aż 11,4 l. W tym ostatnim przypadku wpływ na wynik miały niewątpliwie niskie temperatury otoczenia.

Red.

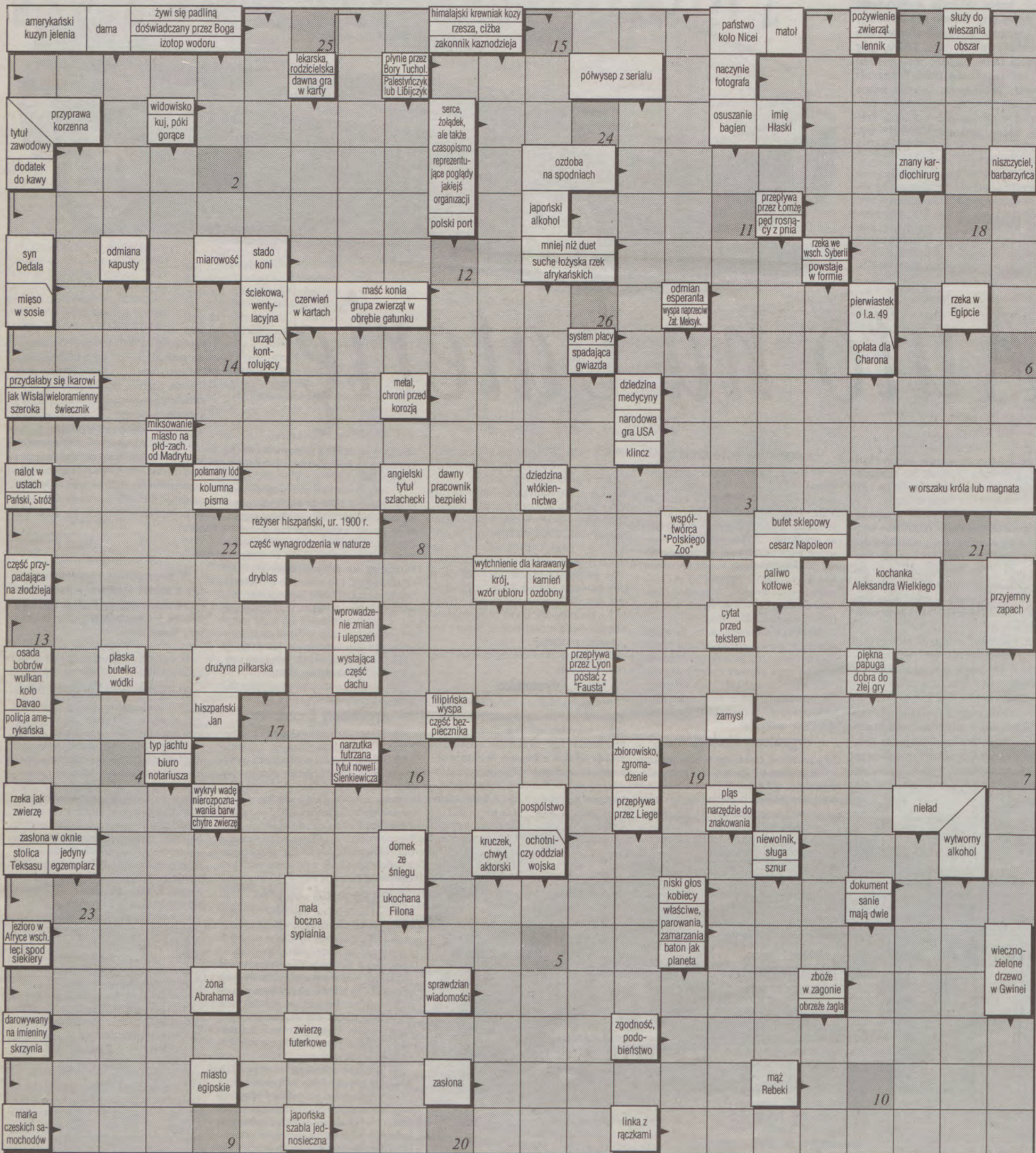


Wszystkie informacje dla kierowcy - na jednym wyświetlaczu.

Fot. Honda

Pomyśl!

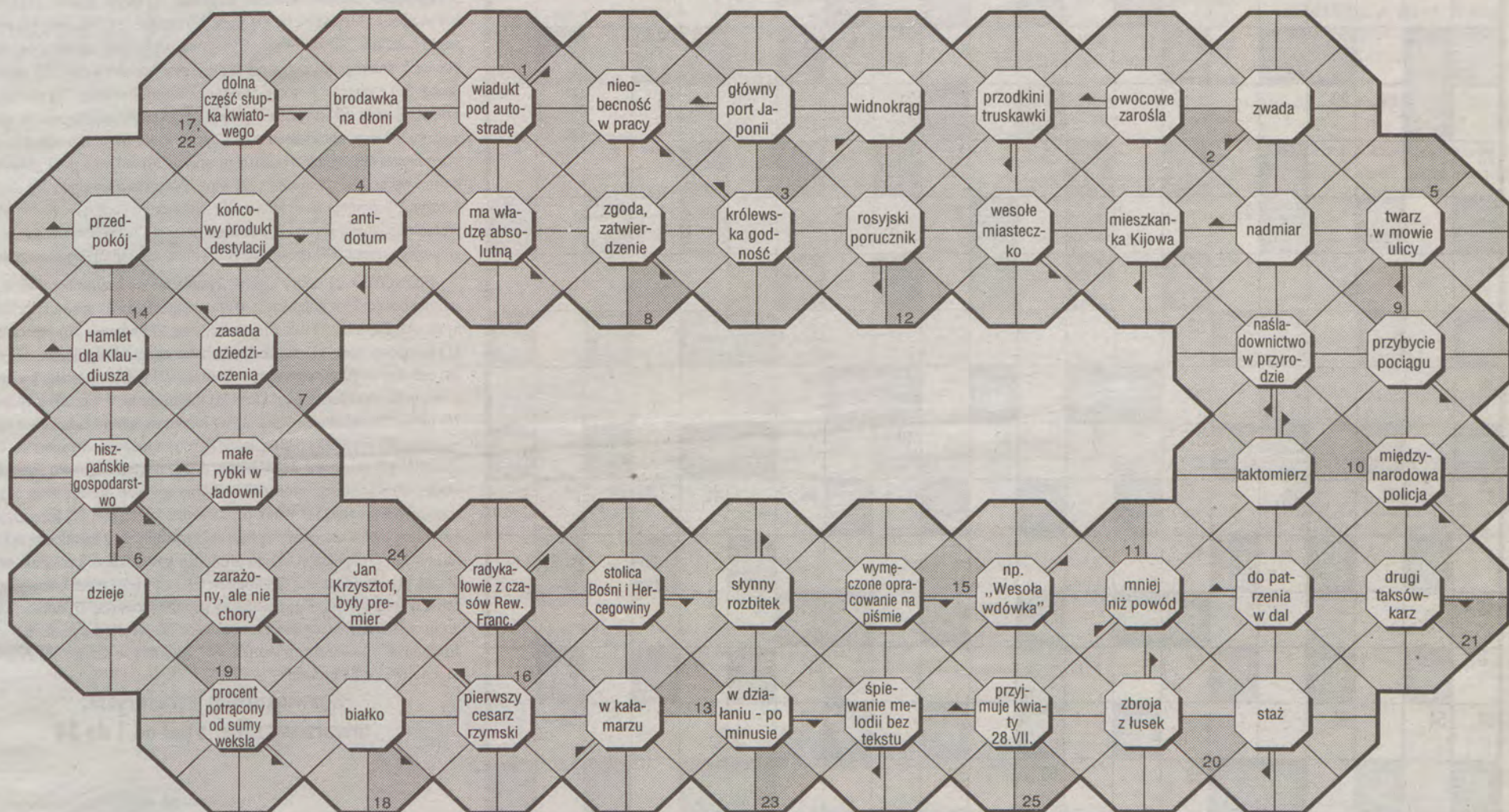
KRZYŻÓWKA ZA 250



Czytelnicy, którzy uporają się z tą wielką krzyżówką i przysłą do 8 stycznia 1997 r. hasło, utworzone z liter na zaznaczonych polach, mają szansę wylosować nagrodę pieniężną w wysokości 250 zł

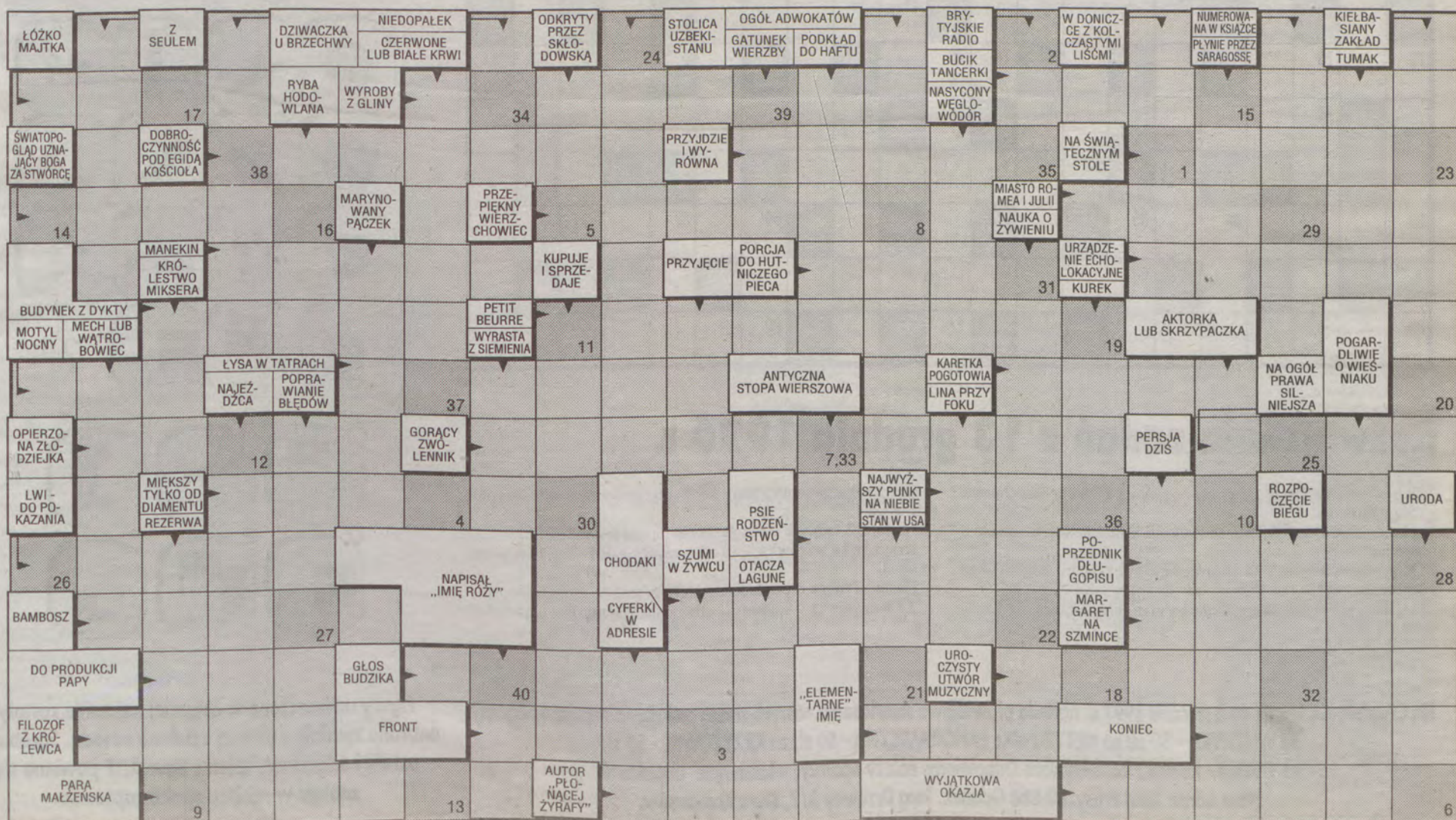
WIROWKA

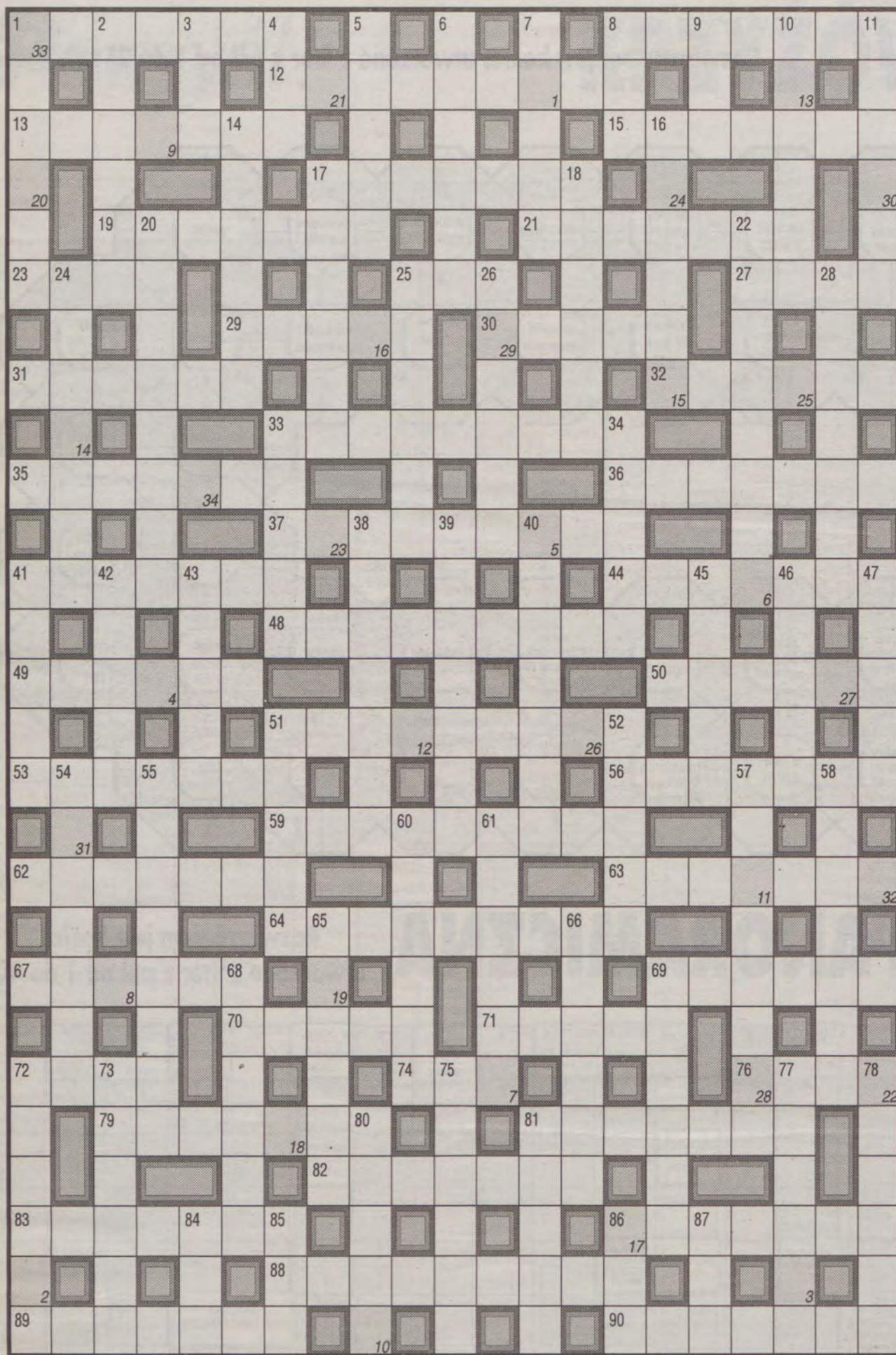
Rozwiązaniem jest hasło, utworzone z liter z pól od 1 do 25



KRZYŻÓWKA PANORAMICZNA

Rozwiązaniem jest hasło, utworzone z liter z pól od 1 do 40





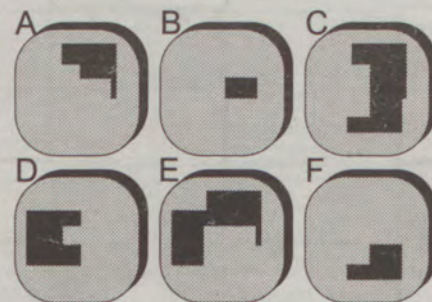
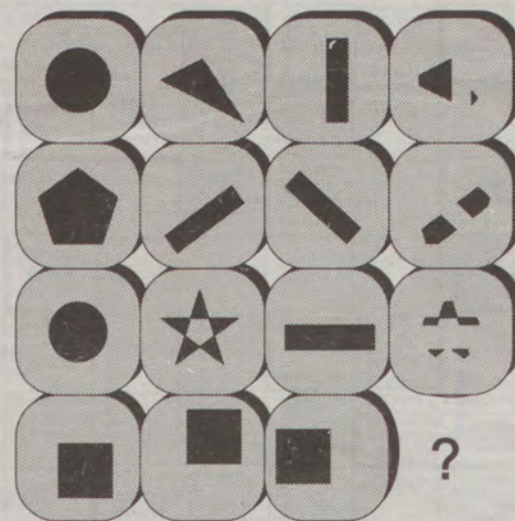
KRZYŻÓWKA

POZIOMO: 1) czynsz; 8) drewno lub cegła; 12) z kopalnią soli; 13) żołnierskie naczynie; 15) część roku akademickiego; 17) herbarium; 19) zanik; 21) ambulans; 23) niedźwiedzie - to gawra; 25) szczyt masztu; 27) tatarak; 29) widliszek; 30) pod piętą; 31) zona; 32) zaczyn; 33) cinkciarz; 35) podobne do kalafiora; 36) żartowniś; 37) gotowa odzież; 41) harakiri; 44) można powiesić siekierę; 48) pełnienie funkcji przewodniczącego; 49) naprawia dachy; 50) z pniem i koroną; 51) właściciel pól bawełny; 53) pieczęć; 56) stolica Georgii; 59) wyje na złodzieja; 62) klasyfikacja wyników sportowych; 63) hiszp. konkwistador, zdobywca Peru; 64) z Buenos Aires; 67) przymierze; 69) wylazi z podartego obicia; 70) żelaza - póki gorące; 71) dawne wschodnie tereny RP; 72) włók; 74) gwizdający ptak; 76) ślusarski uchwyt; 79) ziemniaczane kluski; 81) schówek; 82) odkrycie Kolumba; 83) piętno nabożnego ascety; 86) zamiast płuc; 88) wywożenie ludności z zagrożonego terenu; 89) drewniane naczynie z uchami; 90) wstawia szyby.

PIONOWO: 1) dobry kolega; 2) łączenie oddzielnych części w artystyczną całość; 3) w gołąbkach; 4) śpiewająca Bem; 5) prawa ręka Stalina; 6) na oku Zagłoby; 7) tuk; 8) głos Ładysza; 9) budynek; 10) szpeci ścianę; 11) trzygłowy pies; 14) pajda; 16) bohater epopei Wergiliusza; 17) grunt; 18) cela karna; 20) wycelowany w kosmos; 22) jadalny mięsisty kwiatostan z obszarów śródlądowych; 24) muza gry na flecie; 25) zwycięstwo; 26) nabój; 28) składnik; 33) zastawu z lombardu lub zakładników z rąk porwaczy; 34) sprzeczka; 38) gafa; 39) siostra Orestesa; 40) apaszka; 41) na kłozecie; 42) marynata; 43) wrzątek; 45) brat Metodego; 46) masa słonej wody; 47) starogrecki rynek; 51) biblijne egipskie nieszczęście; 52) rząd scenicznych świateł; 54) statek-przetwórnia; 55) bagno; 57) lek wzmagający syntezę białek ustrojowych; 58) silnik z wirnikiem z łopatkami; 60) kamforowy lub do opalania; 61) do produkcji kauczuku; 65) trzonek; 66) podłużne obniżenie terenu; 68) kopista; 69) człowieka przez człowieka; 72) rolniczy stan w USA; 73) stan czynny przedsiębiorstwa; 75) odbicie karabinu przy strzale; 77) dramat Słowackiego; 78) weselny wypiek; 80) stolica Jordanii; 81) kabaretowa scenka; 84) szkodnik w szafie; 86) August II Mocny; 87) cztery kwartały.

Rozwiązaniem jest aforyzm, utworzony z liter z pól od 1 do 34

FIGURY



Rozwiązania zadań z 13 grudnia 1996 r.

Krzyżówka za 250 zł - nagrodę otrzymuje Elżbieta Solochoiewicz ze Starogardu Gd.

Hasło: „Każdy człowiek zachowuje się sztucznie jest to zupełnie normalne“.

Krzyżówka zwykła - 50 zł otrzymuje Aleksandra Kupniewska z Malborka.

Hasło: „Sport jest jak rzodkiewka mało kto uprawia ale każdy to lubi“.

Krzyżówka panoramiczna - 50 zł otrzymuje Sylwia Gawryłek z Elbląga.

Hasło: „Z ładnych usteczek nawet łajanie jest miłe“.

Krzyżówka wirówka - 50 zł otrzymuje Edward Kucharski z Gdyni.

Hasło: „Potęga zapowiedziana słowem trafi“.

Za łamigłówkę - kosmetyki otrzymuje Danuta Pawlik z Gdańska.

Na Czytelników, którzy do 8 stycznia 1997 r. nadesłali prawidłowe rozwiązania naszych zadań czekają następujące nagrody:

za WIRÓWKĘ - 50 zł; **za KRZYŻÓWKĘ PANORAMICZNĄ** - 50 zł; **za KRZYŻÓWKĘ** - 50 zł;

za FIGURY - komplet kosmetyków. Odpowiedzi należy opatrzyć właściwymi dopiskami.

Nasz adres: Dom Prasy, 80-886 Gdańsk, Targ Drzewny 3/7, Biuro Konkursów.

Figury umieszczone w ostatniej kolumnie zostały dobrane zgodnie z pewną ustaloną zasadą. Spróbuj ją ustalić i odgadnąć, która z figur A...F powinna się znaleźć w miejscu znaku zapytania.

Ewolucja gatunków

Z wędką

Tak na dobrą sprawę, wszystko zaczęło się od ryb. W najmroczniejszych mrokach dziejów, po okrutnej walce dwóch kosmicznych praprotworów: Tannina i Lewiatana powstał kosmos uporządkowany i z praoceanu lub też - według innych prądródeł - z pramorza wylał przelotów. A po co on tam przebywał? A bo były ryby, a jeść musiał, a wędek nie produkował bo pod wodą nie ma fabryk. Łowił więc człowiek naturalnie, jamą ustną i to jest naprawdziwsza prateoria naszych prapoczątków. Potem, po erach, po epokach, po latach pojawił się niejaki Darwin, który usiłował wcisnąć nam kit, że niby-człowiek zlał z pradrzewa. Co za niedorzeczność. Przecie na drzewach nie ma ryb. On po prostu - skoro przestał pływać - musiał zmaistrować wędkę więc wlał po gałąź. Darwin go przyuważył i wysnuł pochopne wnioski. Do nauki należy podchodzić poważnie.



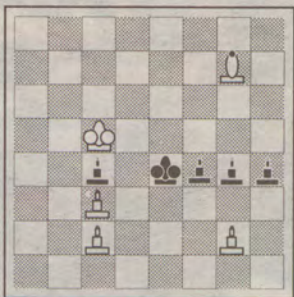
Rys. Wiesław Matczak

Stopniowo pramroki zaczynają się rozjaśniać, promocność staje się jaśniejsza... Powstaje Europa. Spośród najznakomitszych wędkarzy i rybaków na czoło wysuwa się Święty Piotr. Za nim idą tłumy wędkarzy, powstaje europejska cywilizacja wędkarska. Łowi i ma-li i wielcy, łowi kmieć i kneź, rębacz przodowy i prezydent. Wędkarz Churchill mieszka w Europie, wędkarz Bush prezentuje polskiemu wędkarzowi wędkę, polski wędkarz wygłasza - jakże brzemiennej w skutki - sentencję: „Ja nie chcę być wędkarzem, ja muszę być wędkarzem”. Na świecie tyle nowych bajerów, tyle folderów więc dalej, konsekwentnie: „Ja nie chcę czytać, ja muszę czytać” i... faktycznie czytał i... stworzył instytut naukowy. Dziś milionowa rzesza polskich wędkarzy z optymizmem patrzy w przyszłość. W szkołach dzieci uczą się czytać, by jak najszybciej dorwać się do regulaminu wędkarskiego, koncerty samochodowe obrzucają rynek coraz lepszymi „maszynami”, by uprzyjemnić dojazdy na łowiska, słowem, wędka rządzi światem. I dobrze. I tak trzymać. Co prawda, za rozwojem nie nadążają pojedyncze aktywistki - głoszą, że źle, że nie po równo - a przecież to takie proste: Nauczyć się czytać, przeczytać regulamin, opłacić składki i łowić. A kiedy już będzie po równo - milion spódnic i milion portek - wejdziemy w wymajaczną erę Wodnika, a Wodnik gdzie żyje no? No... no... w wodzie! I tak okrąg się zamknie... Wszak historia kołem się toczy, no nie?

Mat.

Szachy

pod redakcją Piotra Sobolewskiego
W. Czechower 1954



Remis. Kontrola diagramu: B: Kc5, Gg7, p.: c2, c3, f2, g2; C: Ke4, p.: c4, f4, g4, g4, h4

W pozycji diagramu na pierwszy rzut oka remisu nie widać, na drugi zresztą też, a jednak... sądzą, że przedstawione dziś studium da wszystkim naszym „rozwiązywaczom” obok niewątpliwej satysfakcji

także zajęcie do końca starego roku. Z powodu tradycyjnych przedświątecznych perturbacji z pocztą nagrody za dwa kolejne zadania przyznam „ryczałem” w pierwszej rubryce po nowym roku.

Szachowy prezent pod choinkę

W Warszawie zebrał się po raz pierwszy po wyborach Zarząd Polskiego Związku Szachowego, który dokonał podziału funkcji wewnątrz Zarządu. Prezes PZSzach. Jacek Żemantowski zaproponował funkcje wiceprezów: Januszowi Wodzie ds. organizacyjnych, Zenonowi Góreckiemu ds. prawnno-ekonomicznych, Stefanowi Witkowskiemu ds. sportowych oraz Zbigniewowi Czajce bez dodatkowych wiązań się z tą funkcją obojętnych. Skarbnikiem został Jan Górski zaś na funkcji sekretarza generalnego została zatwierdzona Agnieszka Fornal. Dokonano także wyboru przewodniczących komisji sportowej i młodzieżowej. Przewodniczącą Komisji Młodzieżowej została Kamila Dębicka-So-

bierajewicz, która zaproponowała udział w pracach komisji m.in. Danucie Widuch z Tczewa i Jerzemu Skoniecznemu z Malborka. Funkcję szefa komisji sportowej zaproponowano autorowi tej rubryki pełny skład obu „strategicznych komisji” podam natychmiast po ich ukonstytuowaniu się, tzn. do końca stycznia 97. Jeżeli do wymienionych tu funkcji dodamy wybór zasłużonego działacza z Pasłęka Bohdana Daniszewicza na członka Komisji Rewizyjnej to mamy wcale liczną reprezentację we władzach Polskiego Związku Szachowego. Szczególnie musi cieszyć wybór byłego prezesa naszego okręgu - Zenona Góreckiego na funkcję wiceprezesa - nasze województwo nie ma w nadmiarze działaczy tej ranki! Nasz reprezentant objął w dodatku bardzo prestiżowy pion prawnno-ekonomiczny. Cóż szlachectwo zobowiązuje! Cieszyć musi także dostrzeżenie przez centralę mrówczej pracy jaką od lat prowadzi p. Danuta Widuch i Jerzy Skonieczny - ich wybór dobrze świadczy o więzi nowych władz z terenem. Wszyst-

kim wybranym życzę sukcesów w pracy na rzecz naszej dyscypliny - liczę, że nie zawiedziemy zaufania jakim nas obdarzono. Przypominamy, że...

... 3.01.97 r. w salach hotelu Miramar w Sopocie (przystanek Sopot Kamienny Potok) rozpoczyna się Indywidualne Mistrzostwa Okręgu Gdańskiego Seniorów. Patronat nad turniejem objął prezydent Sopotu, który ufundował także pierwszą nagrodę w wysokości 1000 PLN! Zapisy na miejscu od godziny 16.00. Nagrody fundują Salony Sportowe KC Gdynia, ul. Obrońców Wybrzeża, Gdańsk DT Sezam Gdańsk Wrzeszcz, ul. Partyzantów 5.

Wszystkim Czytelnikom tej rubryki składam serdeczne życzenia noworoczne.



W brydżu jak w życiu

♠ W1093		♠ AD874
♥ 6		♥ 752
♦ D1064		♦ AKW
♣ 9765		♣ W3
♠ 2	N	♠ AD874
♥ KW108	W	♥ 752
♦ 875	E	♦ AKW
♣ AD1084	S	♣ W3
		♠ K65
		♥ AD943
		♦ 932
		♣ K2

w kiery. Rozgrywająca dodała dziewiątkę, a W biorąc lewą dziewiątkę zagrał w karo do waleta partnera. Ten jeszcze raz zagrał w kiery i W damę, podłożoną przez rozgrywającą, zabił królem. Zostało zagrane znowu karo i E po ściągnięciu asa i króla w tym kolorze wyszedł waletem trefli.

Katastrofa

Rozdanie z Mikstowych Mistrzostw Europy w Monte Carlo przedstawione jest na diagramie.

Obie strony po partii. Rozdawał W. Licytację przedstawia tabelka.

Tak to się zaczęło przy jednym ze stolików. Młoda i ładna zawodniczka francuska, nieco zaskoczona, nie popisała się gdy atak nastąpił w piki. E po przejęciu lewy asem odwrócił

Gdy as i dama trefli wzięły lewę, W odszedł blotką trefli, przebitą przez E siódmą atu i nadbite przez rozgrywającą asem.

To była jej jedyna lewa, gdyż licząc na podegranie pików zagrała blotkę atu. Lewę tę wziął jednak W i zgrał fortę treflowe. Tak więc obrońcy wzięli 12 lew, a rozgrywająca jedną.

Wynik 2 kier z kontrą bez siedmiu, tj. 2000 dla przeciwników.

Przy innych stolikach wyniki wahały się od 2200 za bez czterech z rekontrą SOS, przez 2000 za kontrakty na różnej wysokości do licznych 1400 i 800.

W jednej z sekcji W rozgrywający 3BA, przy życzliwej współpracy przeciwników wziął dwanaście lew, zdobywając trzy nadrobki i zapis 690. Po otwarciu protokołu okazało się, że był to zawodnik bez żadnego doświadczenia. Dotąd grywał tylko w golfa. (Z.P.) wg. Bridge d'Italia

Licytacja

N	E	S	W
pas	pas	1pik	2 kier
x	pas	pas	pas

Nie tylko dla filatelistów

Pocztą Polska wydała 11 grudnia kartkę poświęconą 50-leciu UNICEF, organizacji powołanej przez Zgromadzenie Ogólne Narodów Zjednoczonych 11 XII 1946 roku. Początkowo celem jej była pomoc „dzieciom krajów, które były ofiarą napaści wroga” (z pomocy tej korzystała i Polska). Od roku 1951 celem UNICEF, jako stałej, wyspecjalizowanej organizacji NZ jest opieka nad zdrowiem, żywieniem, nauczaniem dzieci szczególnie w krajach opóźnionych w rozwoju, dotkniętych głodem.

Pierwszym znaczkiem poświęconym UNICEF był znaczek poczty ONZ, wydany w 1951 r. w Nowym Jorku.

W Polsce wydano 3 znaczki w 15. rocznicę, tj. w 1961 r. (w tym 1 z błędnym rysunkiem poziomu mleka w butelce), a w 1971 tj. w 25 rocznicę - serię 8 rysunków dziecięcych. Dzieci były honorowane przez pocztę w Polsce emisjami wydawanymi na Międzynarodowy Dzień Dziecka. W latach pięćdziesiątych były to znaczki propagujące ustrój, charakterystyczne dla tamtego okresu: w 1951 r. znaczek z chłopcem z OHPL w harcerskim mundurze i emblematem światowej Federacji Młodzieży Demokratycznej oraz znaczek z dziewczyną z OHPL i instruktorką z ZMP. W 1952 r. - Bierut idzie przez park w otoczeniu dzieci, w 1953 szkolnictwo, w 1959 r. z hasłem „tysiąc szkół na tysiąclecie” pod patronatem FJN. Lata sześćdziesiąte przyniosły już ładne serie, które mogły zainteresować najmłodszych filatelistów - znaczki z ilustracjami ulubionych bajek dla

dzieci: Korczaka, Konopnickiej, Makuszyńskiego. Ten pomysł kontynuuje Poczta Polska w latach dziewięćdziesiątych wydając w 1992 r. ilustracje Lutczyzna, w 1993 Walentynowicza do bajki Kornela Makuszyńskiego, a w 1996 roku - Brzechwy.

Na znaczkach z 1975 r. pocztą pokazała ulubionych przez dzieci bohaterów filmów telewizyjnych, m.in. popularnych wtedy Jacka i Agatkę z „dobranocki”. Międzynarodowy Rok Dziecka - 1979 r. ukazała się seria dziecięcych rysunków mających powódzenie w emisjach wydawanych z innych okazji, jak np. „Kocham cię” z 1992 r. i na kartkach pocztowych. M.in. w takim stylu jest wesola kartka z 5 grudnia - „Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy” projektu B. Batorskiej.

Do ostatnio stosowanych datowników, możliwych do użycia należą: UP Szczecin 2 - 6 XII - 50. lat parafii prawosławnej św. Mikołaja, a w UP Zamość 1 -

VI Festiwal Muzyki Ludowej - Mikołajki folkowe, 10 XII w UP Kórnik - Miejsce urodzenia laureatki literackiej Nagrody Nobla - Wisławy Szymborskiej, a 12 XII w UP Grudziądz 1 - Wernisaż filatelistyczny. 5 I 97 r. w UP Gdańsk 50, Olsztyn 1, Poznań, Kraków, Szczecin, Katowice, Lublin i Warszawa - V finał Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy.



Polska 40gr

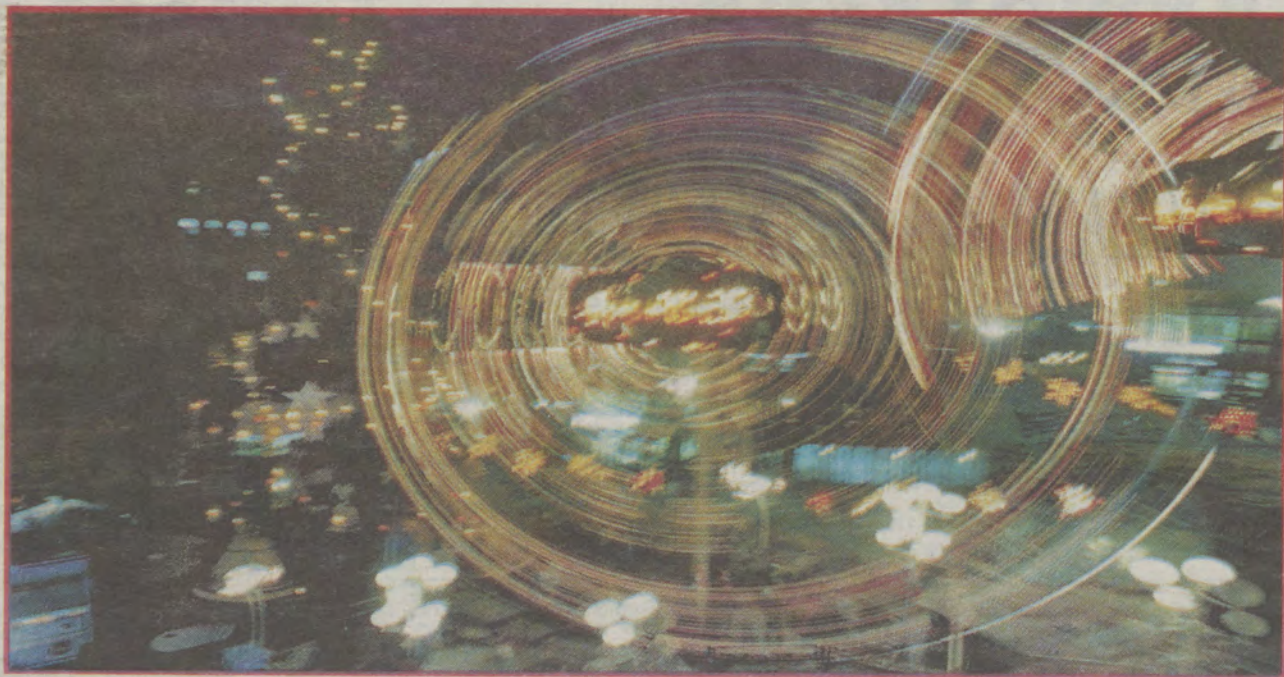
Gorączka przedświątecznych

zakupów za nami.

Jeszcze tylko sylwestrowe

szaleństwo i... przed nami

cały Boży rok!



Gratka

DZIENNIK BAŁTYCKI

SOBOTA, 4.01.

DODATEK BEZPŁATNYCH I PŁATNYCH ANONSÓW

CO ZROBIĆ

żeby Twoje ogłoszenie drobne ukazało się ZA DARMO?

1. Kup "DZIENNIK BAŁTYCKI"
2. Wytnij kupon
3. Wrzuć wypełniony kupon do skrzynki przy Biurze Ogłoszeń "DB" lub wyslij pocztą tak, aby trafił do czwartku, do godz. 12 do Biura Ogłoszeń, lub skrzynki "Gratki"
4. Jeżeli nie możesz wystać kuponu zadzwoń* do Biura Ogłoszeń w Elblągu tel. 35-27-77**
5. Ogłoszenie ukazuje się w "Gratce" - dodatku do "DB" za darmo

KUPONY MOŻNA WRZUCIĆ DO SKRZYNEK "GRATKI"
Elbląg: Biuro Ogłoszeń,
ul. Łączności 3
Elbląg: ul. 1 Maja 1
Elbląg: Dworzec PKP
Kwidzyn: ul. Piłsudskiego 45
(Dom Handlowy)
Malbork: Dom Handlowy
"JURAND"

* tylko dla osób prywatnych zamieszkałych w Elblągu i województwie elbląskim.
** dzwoni od poniedziałku do środy w godz. 8⁰⁰-16⁰⁰ w czwartek w godz. 8⁰⁰-14⁰⁰

spis rubryk i podrubryk

1 AUTO-MOTO	7 NARZĘDZIA
1A sprzedam samochód osobowy	7A sprzedam
1B sprzedam samochód ciężarowy	7B kupię
1C sprzedam motocykl	8 MATERIAŁY BUDOWLANE
1D sprzedam przyczepę	8A sprzedam
1E sprzedam części zamienne	8B kupię
1F sprzedam inny pojazd	8C usługi
1G Autoshopie proponuję	9 TURYSTYKA I SPORT
1H kupię samochód	9A sprzedam sprzęt
1I kupię inny pojazd	9B kupię sprzęt
1J kupię części zamienne	9C wypoczynek
1K zamienię samochód	9D przejazdy
1L zamienię inny pojazd	9E ** serwis
1M skradziono	10 ZDROWIE
1N usługi motoryzacyjne	10A sprzedam
1O taxi	10B kupię
1P autostop	10C usługi medyczne
1R wypożyczalnie samochodów	11 ODZIEŻ
Uwaga: w rubryce przyjęto następujące skróty:	
AA - autokam	12 NAUKA
AF - aluminiowe felgi	12A oferuję
CL - centralny zam.	12B poszukuję
EL - elektryczne listwy	13 ZWIERZĘTA I ROŚLINY
ES - elektryczne szelki	13A sprzedam zwierzęta
EW - elektryczny wyłaz	13B sprzedam rośliny
H - hak	13C kupię zwierzęta
K - klimatyzacja	13D kupię rośliny
R - radiostacja	14 FOTO
S - szyberdach	14A sprzedam
KT - katalizator	14B kupię
AS - automatyczna skrzynia biegów	14C zamienię
BS - blokada skrzyni biegów	14D usługi
I - immobilizer	15 MUZYKA
SP - spójniki	15A sprzedam
2 PRACA	15B kupię
2A poszukuję pracy	15C zamienię
2B dam pracę	15D usługi
3 NIERUCHOMOŚCI - DOM	16 HOBBY
3A sprzedam mieszkanie	16A sprzedam
3B sprzedam dom	16B kupię
3C sprzedam domek letniskowy	16C wymienię
3D sprzedam inny lokal	17 RÓŻNE
3E sprzedam działkę budowlaną	17A sprzedam
3F sprzedam działkę ogrodniczą	17B kupię
3G sprzedam inną parcelę	17C zgubiłem
3H kupię mieszkanie	17D biznes
3I kupię dom	18 MATRYMONIALNE
3J kupię inny lokal	19 ODDAM ZA DARMO
3K kupię działkę budowlaną	20 PROSZĘ O POMOC
3L kupię działkę ogrodniczą	21 ŻYCZENIA
3M kupię inną parcelę	22 HYDE PARK
3N zamienię mieszkanie	
3O kupię inną parcelę	
3P poszukuję mieszkania	
3R poszukuję innego lokalu	
3S odnajmę mieszkanie	
3T odnajmę inny lokal	
3T pośrednictwo	
4 WYPOSAŻENIE MIESZKAŃ	
4A sprzedam	
4B kupię	
4C serwis	
5 RTV	
5A sprzedam	
5B kupię	
5C zamienię	
5D serwis	
6 KOMPUTERY	
6A sprzedam komputer	
6B sprzedam inny sprzęt komputerowy	
6C kupię sprzęt komputerowy	
6D zamienię sprzęt komputerowy	
6E serwis	



Fot. Robert Kwiatek

Do wiadomości biura ogłoszeń

Nie zapomnij!

Imię i nazwisko

adres

numer dowodu osobistego

telefon

podpis

Treść

Adres i telefon

Gratka - bezpłatny kupon

uprawniający do jednego ogłoszenia drobnego w dniu

4.01.

Wytnij kupon - 1 wrzucić do skrzynki "Gratki" lub 2 przesyłać pocztą pod adresem 80-886 Gdańsk, Targ Drzewny 3/7 Centralne Biuro Ogłoszeń "Dziennika Bałtyckiego" lub 3 przesyłać faksem nr (0-58) 35-48-69 lub 4 zadzwonić Elbląg nr 35-27-77.

** Tylko dla osób prywatnych

- W TREŚCI OGŁOSZENIA DO PODRUBRYK ODWOLANIE SPRZEDAŻ NALEŻY PODAĆ CENĘ

- WSKAZAĆ CENY W NOWYCH ZŁOTYCH POLSKICH

- OGŁOSZENIA W RUBRYKACH: ODDAM ZA DARMO I PROSZĘ O POMOC MOŻNA NADAĆ TYLKO OSOBIŚCIE W BIURACH OGŁOSZEŃ

- W OGŁOSZENIU PODAĆ: MIEJSCOWOŚĆ, ADRES, NUMER TELEFONU

- BIURO OGŁOSZEŃ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO ZREKLOWANIA I SKLASYFIKOWANIA OGŁOSZEŃ LUB JEGO NIEZAMIESZCZENIA

53

podrubić

rubryki